

NOL

Nieoficjalny
Obiekt
Literacki

MIESIĘCZNIK
BIULETYN INFORMACYJNY ŚKF



WSTĘPU

Tytułem



Witajcie w NOL-u. Nieoficjalnym

Jesion Kowal

ALICJA, WERSJA 2.0

4

Katarzyna Kubacka

FABRYKA

10

Agnieszka Zapart

KRÓTKA HISTORIA PEWNEGO UCZUCIA

16

Anna Hryczyszyn

OD ŚWITU DO ŚWITU

18

Olga Niziołek

WĘDROWNI TANCERZE

27

Ten wstępniak jest jednocześnie pożegnaniem, trzymasz bowiem, drogi Czytelniku/droga Czytelniczko, w ręku ostatni numer NOL-a. Nie wiem, czy ostatni w ogóle, czy tylko na dłuższy czas – być może kiedyś do niego wrócimy. Ale na razie z NOL-a rezygnujemy. Będziemy za to (my, czyli sekcja literacka) prezentować swoją twórczość w wydawanych raz w roku antologiach.

Jeśli czytasz te słowa, prawdopodobnie należysz do tej niewielkiej grupy, która od czasu do czasu po NOL-a sięgała, wypada mi się więc podziękować Ci za wszystkie wspólnie spędzone lata. Wypada też wytłumaczyć, skąd taka decyzja. Tu chciałam napisać, że NOL nie spełniał swoich założeń – za mało osób go czytało, nie był atrakcyjny ani dla czytelników, ani dla autorów jako miejsce publikacji. Teraz jednak uświadomiłam sobie, że to nieprawda, bo założeniem NOL-a nie było przecież konkurowanie z „Nową Fantastyką” czy

Obiekcje Literackim.

[...]

innymi czasopismami. NOL miał być po prostu miejscem, gdzie piszący klubowicze mogą pochwalić się swoją twórczością – i jako taki swoją rolę spełniał bardzo dobrze. Problem w tym, że chcemy (znowu: my, czyli sekcja literacka) czegoś więcej. Chcemy, żeby naszych autorów czytali nie tylko klubowicze, ale również ludzie spoza klubu, chcemy ich promować, chcemy, żeby nasze teksty były konkurencyjne dla opowiadań z profesjonalnych zbiorów, a nasza antologia stała się trampoliną do wydania własnej książki. Czy to zbyt ambitne projekty? Cóż, czas je zweryfikuje, myślę jednak, że nie – mamy przecież w sekcji sporo zdolnych autorów, którzy albo już piszą na publikowalnym poziomie, albo niewiele im do tego poziomu brakuje.

Tu być może zadasz pytanie, dlaczego w takim razie nie będziemy wydawać jednocześnie i NOL-a, i antologii? Odpowiadam: z różnych powodów (za mało czasu, za mało dobrych tekstów) nie jesteśmy w stanie tego robić, a chcemy się skupić na tym, co rokuje większe nadzieje, czyli właśnie na antologii. Jak pisałam, być może kiedyś do NOL-a wrócimy, na razie jednak się żegnamy. Nie całkowicie – wciąż z Wami będziemy, tylko w innej formie. Pierwszy tom naszej antologii powinien ukazać się albo jeszcze pod koniec tego roku, albo wiosną roku 2017. Mam nadzieję, że wtedy się spotkamy. A wszystkim, którzy do tej pory NOL-a czytali, raz jeszcze serdecznie dziękuję.

Milej lektury i pamiętajcie o nas!



ALICJA, WERSJA 2.0

1

Późny wieczór, ciemno i w ogóle, a tu Ala w drodze do domu, sama. Samochody chłapały światłem na jej cień, płosząc go. Odgłos kroków: raz dwa, raz dwa. Nie szła zbyt szybko; piątkowe zmęczenie zawsze robiło swoje.

Po drodze zerkąła w okna sklepowych wystaw, biurowców i banków. Od jakiegoś czasu coraz bardziej wyglądały jej na ociosane szklane kule; w środku wróżki i wróżbici serwujący przyszłość za horrendalną cenę. Odbicie Alicji szło równo z nią, pojawiając się, znikając, pojawiając znów. Patrzyła na nie, zaabsorbowane wybieraniem odpowiednich dla siebie powierzchni. Trafiało nieomylnie.

Mijając szczególnie wielką wystawę, przyjrzała się sobie. Wydawało się, że jej odbicie nie jest zbyt zadowolone z tego, do czego jest zmuszone. Alicja westchnęła lekko – sztuka bycia kobietą, sztuka maskowania zmęczenia – i zdecydowanym ruchem poprawiła włosy. Torba na drugie ramię. Zawsze nieco się garbiła; wyprostować się trochę. No i ten krok, coraz bardziej powłóczy nogami. Zwolnić czy lekko przyspieszyć, odprężenie czy resztki energii? Lepiej zwolnić; powiedzmy, że spacer.

Wprowadzając kolejne poprawki, Alicja gubiła sens i istotę poprzednich: pod pasek torby zaplątał się kosmyk włosów, nagle wyprostowane plecy zmieniły ułożenie ramion, skrócony krok przydał jej ociężałości. Wszystko się zmieniło, a nic nie uległo poprawie. Alicja rozglądnęła się wokół. Było pusto, nikt nie mógł jej zobaczyć. Dalej szła więc już trochę pewniej. Ale i tak nadal zerkąła w szyby.

Sztuczne światło lizało fragmenty muru i chodnika i wnikało w przejrzysty chłód szyb; jasne plamy przycupnięte tu i ówdzie jak pałapki. Latarnie i neony zatknięte wzdłuż ulicy zmieniały układ cieni na twarzy. Przechodząc obok kolejnej wystawy sklepowej, zauważyła, jak jej rysy nagle stają się plastyczne: światło odkształcało je jak dym, tworząc wariacje. Wiedzioną ciekawością – jak też będzie wyglądać za chwilę? – co jakiś czas zatrzymywała się przed wybranymi na chybił-trafił taflami, przyglądając się różnym wersjom siebie. Anonimowa, miejska, wieczorna ulica, teraz przekształcona w galerię.

Alicja nigdy nie przypuszczała, że może mieć (że ma?) aż tyle różnych twarzy. Niektóre wydawały jej się znajome, ale większość widziała po raz pierwszy. Wpływała i wypływała z kolejnych ram, przechodziła z jednego obrazu do drugiego. Obserwowanie tego wszystkiego sprawiało jej przyjemność, więc jeszcze trochę zwolniła krok.

Wykorzystując jej zaabsorbowanie, ulica zaczęła się wydłużać.

Asfalt popętlł naprzód jak lawa, a spod nowych linii krawężników i kawałków popękanych płyt chodnikowych powyrastały nowe oszklone witryny. Banki, biura podróży, apteki i ka-

wiarnie; wszystko to pozamykane na wszelkie możliwe zamki, wszystko opuszczone i ciche z wyjątkiem ledwie słyszalnego bzyczenia neonów. Naprędce, choć precyzyjnie konstruowane dzieło, fałszywe świadectwo niedawnego życia, które rano znów wpłynie w pleksiglas jak w bursztyn.

Natłok portretów w szybach. Miarowy stukot obcasów.

Dźwięki jeden po drugim odbijały się od ścian jak przezroczyste ómy; Alicja zepchnęła gdzieś na obrzeża myśl o powrocie do domu. Nawet zmęczenie się poddało i przestało ciągnąć ją za rękaw. Zatrzymując się przed kolejnymi witrynami, już poza poczuciem czasu, Alicja studiowała własną twarz zastygającą w coraz to nowszych i bardziej fantazyjnych kształtach. Czasem dmuchała na jakiś szczególnie wolno ścinający się obraz z niecierpliwością małej dziewczynki.

Następna witryna. I następna.

Przeszła w ten sposób ponad dwieście metrów, aż wreszcie zatrzymało ją czerwone światło. Wąska przecznica; i tak mało kto o tej porze tędy jeździ; będzie tu sterczeć i czekać? Chyba dla przyzwoitości. Po drugiej stronie była szczególnie wielka wystawa, która wydawała się na nią czekać, wzmacniając i odbijając jej rosnącą niecierpliwość. Bezruch wzmacnia. Wzmacnia, wzmacnia; co jest z tym światłem. Rozglądnęła się szybko. Środek nocy; bez przesady.

Stała przed witryną, obserwując, jak odbicie nakłada się na wszystkie te przedmioty, które ktoś tu zgromadził i spiętrzył. Patrzyła na swoją rękę wyrastającą z pękatego, żłobionego stojaka lampy, na oczy obserwujące ją z chromowanych pokręteł stojącego przed nią radia, na ciepłobłyszczące usta chromowanego czajnika, który zwisa tuż przed jej twarzą jak nierdzewny pajak.

I ruch, niespodziewany ruch. *Kto ty jesteś?*, zagadnął ją czajnik. Mimo szyby, usłyszała go całkiem wyraźnie. Speszona, szybko odwróciła wzrok.

Naprzód marsz, przed siebie patrz.

Jakaś jasna plama, coś po przeciwległej stronie ulicy. Alicja odwróciła się: jasne – białe? – futro, dwa skoki, hyc hyc i tyle. Znikło, przemknąwszy wzdłuż krawężnika, zbyt szybko, by zdążyła mu się przyjrzeć. Pewnie kot, choć wydawało jej się, że widziała długie uszy. Nadal patrząc w ślad za zwierzęciem, znów wychwyciła ruch – tym razem z przodu. Odwróciła się z powrotem i popatrzyła przed siebie, w głąb ulicy. Jakiś inny kształt, większy i ciemny. Człowiek. Dostrzegła, jak sylwetka znika za zakrętem, kilkaset metrów od miejsca, w którym się znajdowała.

Alicja wyczuła, że zakręt jest tu czymś nowym i obcym. Dlaczego go nie pamięta? Mała, nieprzyjemna luka w pamięci. Przez chwilę Alicja próbuje ją jakoś załatać, ale bezskutecznie. A może po prostu nigdy nie przeszła tą ulicą aż tak daleko? W nocy wszystko wygląda inaczej, to fakt, ale przecież zna ten fragment miasta. Dotąd wszystko było proste, myślała, patrząc niepewnie wokół. Chodzi tędy przynajmniej raz w tygodniu. Gdy rozum śpi. Aż tak się zagapiła?

Próbując na powrót znaleźć się we własnej, dobrze znanej sobie rzeczywistości, przystanąła pod jakimś jasnym neonem, szukając w torebce zegarka. Jej wzrok, wymknąwszy się spod kontroli, prześlizgnął się po wystawie właśnie mijanego sklepu. Ciemna szyba, pęknięta w prawym rogu. Jakies niewyraźne kształty w głębi. Popatrzyła uważniej. Jej odbicie.

Nie ma. Zniknęło.

Odwróciła wzrok, równocześnie sama przed sobą udając, że wcale się nie przełączyła. Nic się nie stało. Może ta powierzchnia to wcale nie szyba, może kąt ustawienia jest inny niż pozostałe, może jednak jest za ciemno. Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Stała pod neonem. Neonem, którego odbicie chyba było widoczne. Tak. Pomarańczowe, odwrotnie ustawione litery.

Pamięta. I to pęknięcie. Mimo że instynkt podpowiadał jej, by zerknąć i sprawdzić jeszcze raz, zmusiła się do bezruchu. Nie, wcale nie ma potrzeby się upewniać. A może poszukać jakiejś innej witryny i poszukać tam? Nie. Bała się. Popatrzyła na swoje ręce. Zaciśnąć, rozprostować palce. Teraz krok. Prawa noga w przód. Dobrze. Następny. I następny. Tak, to w zupełności wystarczy. Krew, w swojej mądrości, coraz głośniejsze mówiła coś wręcz odwrotnego.

Teraz szła już szybciej. Dużo szybciej.

Ulica skończyła się w zupełnie nieodpowiednim miejscu, zbyt szybko i zbyt gwałtownie. Gdy Alicja wypadła zza zakrętu, zobaczyła, że stoi u wylotu ślepego zaułka. Zanim jednak dotarło do niej, że dalej już tędy nie przejdzie, uwagę jej przykuł stojący w głębi budynek. Połyskliwy wieżowiec z ciemnego, drżącego szkła. Przypatrzyła się uważniej. Woda. Spływała po szybach cienką warstwą. Budowla tkwiła tam, tarasując wszystko, jak gigantyczna fontanna, jak ciekła rzeźba.

Ktoś stał u jej podnóża. Alicji wydało się, że rozpoznaje tę samą sylwetkę, którą widziała przed paroma minutami. Kobieta zwrócona tyłem do wejścia, jakby czekała na kogoś, kto za moment powinien stamtąd wyjść. Minęła chwila, zanim Alicja zorientowała się, że wbrew rozsądkowi zaczyna powoli do niej podchodzić, przyciągana czymś niepojętym, a zarazem nieobcym. Im bliżej podchodziła, tym więcej szczegółów widziała i rozpoznawała; sylwetka tamtej stawała się coraz bardziej znajoma.

Włosy. Ubranie. I torba, taka sama jak jej.

Nagle tamta odwróciła się i Alicja zobaczyła rysy jej twarzy. I choć gdzieś podświadomie musiała się chyba tego spodziewać, widząc ją wreszcie z bliska, zastygła.

Były identyczne.

Przez chwilę jeszcze wpatrywała się w tamtą – w siebie – jak gdyby usiłując ostatecznie się upewnić. Jej własny obraz, nagle tak obcy i wrogi; symetria przez tafel lustra. Miała wrażenie, że ktoś precyzyjnie odciął jej cień, pokolorował go, nadmuchał i wprawił w ruch. Wyczuwała jednak, że tamta wcale nie musi się upewniać. Że wie już od dawna. I że z jakiegoś powodu ma już dość.

Widzi, jak obrys tamtej lekko drży i faluje, jak gdyby delikatny wiatr rozpraszał jego cząsteczki. Alicja powoli podniosła dłoń do ust... I zobaczyła, jak tamta, ociągając się, również podnosi rękę. Jeszcze wolniej.

I zatrzymuje się wpół gestu.

Nagle w głowie Alicji wykwitł głos: wyraźny i ostry, własny i obcy jednocześnie. Ktoś śpiewał jej ulubioną kołysankę, szydząc z każdej nuty i słowa. Czuła, jak melodia przedziera się przez szum krwi, przez dudnienie tętna, przez wysokie buczenie neuronów. Przycisnęła obie dłonie do skroni. Nie musiała patrzeć, by wychwycić jadowity uśmiech tamtej: słyszała go aż za dobrze. Gdzieś pod spodem, pod prostymi słowami piosenki i naiwną melodią, gdzieś na dnie, krył się jeszcze inny dźwięk. Dźwięk, który Alicja starała się wychwycić i oddzielić od reszty. Wymykał jej się bez trudu, równie drwiąco.

Kiedy otwarła oczy, zobaczyła dziwnie jasne, nabrzmiałe chmury, wpływające w tafel szyby wieńczącego ulicę budynku. Nagły chłód, gdy pierwsze krople, wielkie i ciężkie, spadły na jej włosy i na uniesioną wyczekującą w górę twarz tamtej. Śpiew przygasł nieco, a dźwięk, który Alicja starała się wychwycić, stał się trochę wyraźniejszy.

Tamta znów popatrzyła jej prosto w twarz i Alicja zobaczyła jej rozmazany deszczem makijaż. Lśniące strużki czerni wżerały się w bladą skórę, wnikając w nią coraz głębiej. Alicja niepewnie uniosła rękę i dotknęła swoich policzków: były jeszcze suche, ale gdy popatrzyła na



ALICJA, WERSJA 2.0
RYS. G. PALICKA

dłoń, dostrzegła na niej ciemne smugi. Tani tusz. Wzrok tamtej jak koniec noża: twardy i skąpiony. Usta rozciągnięte w wyczekującym, purpurowym, przekrwionym uśmiechu. Skończyła nucić. W nagłej ciszy Alicja usłyszała pisk ostrza ślizgającego się po szybie.

Odwrociła się, dostrzegając jeszcze ścianę deszczu w szybach otaczających ją, cichych budynków; drzewa chwiejące się pod naporem wiatru; nocne powietrze rozświetlone strugami wody. Jakaś witryna. I znów to puste miejsce po jej odbiciu.

Zerwała się do biegu.

Minąwszy zakręt, znalazła się znów na długiej, prostej ulicy. Szybkie spojrzenie w głąb ulicy: tym razem nie było przecznicy i przejść, rozciągały się przed nią jedynie nieustępliwe, gładkie powierzchnie. Lity, twardy chrom spojony tu i ówdzie chropogładzią muru. Biegła przez ten absurdałny korytarz miejskiego labiryntu, mijając naprzemiennie ułożone jasne i ciemne lustra o fugach z czarnej cegły. Biegła, a kałuże wylewały się spod budynków, wypelzały przed nią na ulicę jak wielkie, lśniące, płaskie robaki i zastępywały kolejno na swoich miejscach: nieruchome, wyczekujące. Biegła w nadziei, że ulica ma gdzieś swój początek, do którego będzie można wrócić i udawać, że nic się nie stało.

Tamta sunęła za nią, spokojnie, przypatrując się ucieczce. Widziała, jak plamy wody na chodniku wyciągają po Alicję zimne ręce. Chwytały ją za kostki, smagały po łydkach. Widziała też, jak zbiega wreszcie z chodnika na jezdnię. Tam kałuże było mniej; była pewna, że sama wpadłaby na to przedzie.

Alicja obejrzała się w biegu. Strach wydawał jej komendy i nadawał tempo. Jeszcze jedno, nieco dłuższe spojrzenie w tył. Każda błyskawica zmniejszała dystans między nimi. Wydawało jej się, że woda w miniętych kałużach zaczyna krzepnąć. Szybciej.

Biegąc, Alicja widziała, jak ulica zmienia się na jej oczach: nowe przecznice wydłużały dystans, beton rozszerzał się z przyporządkowanym o mdłości, niskim dźwiękiem. Wszędzie czerwone światła. Strach przed tamtą szczelnie wypełnił ją całą i już nie było miejsca na żaden inny: przejrzyste, niewyraźne fantomy samochodów błyszczały od deszczu, a ona biegła dalej po jezdni, wprost pod ich koła. Trąbiły przeraźliwie jak prawdziwe i przejeżdżały tuż koło niej.

I wydawało jej się.

Że biegnie.

Tak już całe lata.

Wreszcie zaczęła słabnąć. Czuła tylko ból w mięśniach; urywany oddech dźgał ją w płuca mocniej i mocniej. Od dłuższej chwili radziła sobie coraz gorzej z ciężarem własnego ciała, a co dopiero z ciężarem zmęczenia, które złośliwie kładło się na niej coraz bardziej. Razem ze strachem próbowała jeszcze narzucić wolę ciału, ale ucieczka zdawała się nie mieć końca.

Wiedziała, że będzie to błąd; czuła, że tamta tylko na to czeka. Ale musiała się zatrzymać. Zbyt szybko opadała z sił. Jeszcze parę kroków. Jeszcze. Zmęczenie było jednak po prostu silniejsze, nawet od jej strachu. Popatrzyła w głąb niekończącej się ulicy. Nic więcej nie mogła już zrobić. Zatrzymała się.

Nie miała już nawet siły, by jeszcze raz spojrzeć za siebie.

Siłą uderzenia tamtej wbiła ją w okno najbliższego sklepu. Alicja poczuła jak wchłaniania ją lustro szyby. Gładkie, chłodne, bezpieczne.

Szła równo z tamtą, jak ona poprawiając krok, posturę, torbę na ramieniu, włosy. Znikała we fragmentach muru i ponownie pojawiała się w każdym najmniejszym kawałku wszystkich odbijających światło powierzchni. Szła przez okna, klamki, gładkie poręcze i kałuże. Zmieniała swój kształt, proporcje i kolor. Było to fascynujące.

Idąc, tamta śmiała się na cały głos.



Fabryka

2

W salce było ciasno i duszno. Od samego oddychania kręciło się w głowie, ale kiedy zaczęliśmy biegać, wszystko inne traciło na znaczeniu. Nazywają mnie Marika, bo tak miała na imię kuzynka chłopaka, który załatwił mi pracę, a potem pokazał ten klub. Może to i dobrze, ja sama nie pamiętam, jak się nazywam. Jestem więc Marika i w normalnym życiu się staram.

Staram się sprzątać, żeby nie wywalili mnie z mieszkania, i staram się w pracy, bo jakoś trzeba żyć. Tylko tutaj nie muszę się starać, mimo że zależy mi jak cholera – a jednak to przychodzi samo z siebie.

Robiliśmy dziesiąte okrążenie, potem był bieg bokserski.

– Co jest kurwa?! – wrzeszczał Kruk, nasz trener. – To ma być przedszkole, czy jak? Mam wam dołożyć po dwadzieścia pompek?

Nawet z mojej pozycji widziałam jednak, jak się uśmiecha. Kruk nie potrafił się złościć, tylko udawał.

Każdy z nas był tu z innego powodu, ale wszyscy wychodziliśmy stąd szczęśliwi. Pot łął się z nas strumieniami, a mięśnie, mimo regularnych intensywnych treningów, bolały niemal każdego dnia.

W sparingach radziliśmy sobie różnie. Byli ludzie, którzy ćwiczyli kilka lat, ale byli i tacy, co przyszli tu miesiąc temu. Czasem któryś mniej doświadczony obrywał, na szczęście niebyt mocno. Ale każdy chciał się bić, nawet ja. A może – tym bardziej ja.

Pracowałam po dziesięć, jedenaście godzin dziennie, czasem nocami. Wielka naga żarówka tliła się nad naszymi głowami, podczas gdy my montowaliśmy plastikowy wsad do okrągłego otworu, a później wkładaliśmy wszystko do czarnych torebek. Nikt z nas nie wiedział, co robimy; równie dobrze moglibyśmy składać reaktor jądrowy. Zresztą, fabryka stała na uboczu, ale nie w takim sensie jak wszystkie inne fabryki – ten moloch przytłaczał wielką bryłą pustkę ciągnącą się wokół przez wiele kilometrów. Oczywiście na nogach nie mogliśmy się tam dostać, przysyłali więc po nas autobusy – ale one dowoziły nas i odwoziły na dalekie, dzikie przedmieścia, skąd mieliśmy do siebie, w zależności od tego, kto gdzie mieszkał, dobrych kilka kilometrów. Nocą nie było to przyjemne miejsce. Staraliśmy się trzymać razem, ale w końcu każdy odchodził w swoją stronę.

Nie przeszkadzała mi praca w nocy, bo często nie potrafiłam zasnąć. Kiedy miałam wolne, włóczyłam się nocami po mieście. Zaglądałam do cichego baru stojącego na końcu samotnej ulicy. Był pełen ludzi, którzy wyglądali, jakby życie skończyło im się w nieodpowiednim momencie. Brudne szklanki napełnione rozwodnionym piwem stanowiły marną pociechę; nikt nie patrzył nikomu w oczy. Siedzieliśmy tylko przy pustych stolikach i czekaliśmy na świt. Potem

wychodziłam i strząsając z głowy pojawiające się tam powoli ponure myśli, próbując nucić i trzymać głowę prosto, szłam do domu. To niebywałe, jak bolesne potrafią czasem być puste ulice.

Zanim spotkałam Irka i trafiłam tutaj, mieszkalam w opuszczonej budce przy porcie. Pewnego deszczowego dnia po prostu weszłam do środka i natknęłam się na Pirata. Miał długie, gęste włosy, kolczyk w uchu i twierdził, że kiedyś pływał na statkach. Chodziliśmy razem na miasto w poszukiwaniu jedzenia. Nie wysypiałam się, bo wiatr hulał w dziurach między plastikową ścianą a podłogą, i chodziłam głodna, bo w tym mieście nie zawsze można znaleźć jedzenie w śmietnikach na tyłach sklepów. Ale co wieczór słyszałam od Pirata nową opowieść. Razem śmialiśmy się, gdy już nie mieliśmy sił płakać i zasypialiśmy wsłuchani w dalekie wycie kuterów pływających na pełnym morzu.

A później wszystko się zmieniło i przez jakiś czas nie miałam już z kim się śmiać ani płakać. Pirat nie chciał tej pracy, pracy w fabryce; cały czas marzył, że wróci na statki. A ja? Ja nie wiedziałam, o czym marzyć.

Czasami podczas treningów do naszej salki wlatywał mały, niebieski ptak. Kręcił się wokół, podczas gdy my ćwiczyliśmy na tarczach ciosy, a potem, nim się zorientowaliśmy, wylatywał przez okno lub kratkę wentylacyjną. Czasem przysiadł na parapecie a ja uśmiechałam się do niego, zanim nie dostałam od kogoś lekkiego ciosu za nietrzymanie gardy.

Niekiedy po pracy padałam na twarz, ale i tak zawsze przychodziłam na trening.

Dopiero kiedy trafiłam tutaj, znowu zaczęłam żyć.

– Marika, dwadzieścia pompek na pięściach. Ty, Młody, też – powiedział Kruk, bo zagapiłam się na okno. To nie zdarzało mi się często. Kiedy byłam w salce, chłonełam każdy ruch zaobserwowany u kolegów i każde słowo, które wypowiedział Kruk. Chciałam być lepsza, chciałam dać sobie taki wycisk, żeby nie czuć nóg, i chciałam kiedyś wybić zęby ludziom, którzy płacili mi marne grosze za pracę, po skończeniu której w mojej głowie nie było już żadnych myśli.

Ale ostatnio czułam się trochę niespokojna, zupełnie jakbym przeczuwała, że coś się zdarzy. Zimny październik obijał się o szyby jak ćma w pustym słoiku. Świat był nieprzyjemny i pusty poza naszym małym klubem walki.

Pompowaliśmy z Młodym aż zsiniały nam nadgarstki.

– Dobra, sparingi – powiedział Kruk, szczerząc swoją śniadą twarz. – Dobierzcie się wzrostowo-wagowo, ale na początek same ciosy proste.

Stałam z Młodym. Kruk uśmiechnął się, patrząc na zegarek.

Kiedy tu przyszedł, pokazał mi wszystko: jak trzeba stać i co robić, i nawet kiedy po dwóch tygodniach nadal myliło mi się, którą nogę mam postawić na przedzie, nie zniechęcał się i mówił to samo. Kruk był z Libanu, mieszkał kiedyś na granicy, w mieście, w którym od jakiegoś czasu przestało być tak przyjemnie jak jeszcze dwadzieścia lat temu. No i trafił tutaj – ostatecznie prędzej czy później prawie każdy stamtąd uciekał.

– Skoncentruj się – powiedział Młody, gdy nie odpowiedziałam na jego cios, a w dodatku zupełnie się odsloniłam. Nie wiem, o czym myślałam w tym momencie, chyba znowu zamartwiałam się pracą. Ostatnio prawie cały tydzień miałam wolny, pomyślałam więc, że zrobiłam coś nie tak. Ale tego nigdy się nie dowiem; trzymali nas w szachu jak kukielki w teatrze lalek.

Podniosłam gardę a potem zaatakowałam dwa razy lewym i mocno prawym.

– Ałaa – powiedział Młody cienkim głosem. – To bolało...

Okno otworzyło się i do środka wleciał niebieski ptak, niosąc ze sobą zapach bzu i kwietniowych nocy. Potem usiadł na worku treningowym obok mnie i zapytał:

– Czujesz? To zapach wolności...

Była noc i znowu nie mogłam zasnąć. Zapaliłam światło i boso chodziłam po pokoju. Wiedziałam, że jeśli będę leżeć i czekać na sen, tysiące myśli znowu stratuja mi głowę. Zrobiłam kilka kółek rękami i wyjrzałam przez okno. Poszłabym do kuchni zrobić sobie herbatę, ale nie chciałam obudzić Weroniki, bo ściany między pomieszczeniami były bardzo cienkie. Usiadłam na łóżku i zapaliłam.

Myślałam, że po wypłacie ledwo starczy mi na czynsz, i myślałam o tym, co się stało z Piratem. Kiedy zaczęło się moje nowe życie, przez jakiś czas nie chodziłam do budki przy porcie, a potem, kiedy w końcu się tam zjawiłam, jego już nie było. Mógł zgubić się w jakimś zaułku i już tam zostać, mógł też wrócić na statki.

Czasem myślałam, że mogłabym wrócić na ulicę, ale kiedy ma się mieszkanie i pracę, trochę trudniej jest podjąć taką decyzję. Więc człowiek trzyma się tego, co ma, z cichą nadzieją, że nie popełni żadnego błędu. Świat jest bezdźwięczny i pusty, ale przynajmniej bezpieczny.

Usiadłam na środku pokoju i czekałam na świt.

Minęło już siedem minut a Kruka nadal nie było. Irek zabrał ze ściany skakanki i ćwiczyliśmy na nich, czekając. W regularnych uderzeniach sznurka o podłogę czuć było lekkie napięcie, ale nie patrzyliśmy na siebie, tylko w dół. Może dlatego nie zorientowałam się na początku, że nie ma z nami Młodego. Skakaliśmy z przerwami już dobre dwadzieścia minut.

Kiedy drzwi otworzyły się, wpuszczając do salki chłodne powietrze, odczułam chwilową ulgę, ale gdy tylko spojrzałam na Kruka, zaraz zmroziło mi krew. Był blady, mokry od deszczu, przygarbiony. Zamknął za sobą drzwi, odwrócił się do nas plecami i stał tak przez chwilę, nic nie mówiąc. Potem znowu się odwrócił i spojrzał na nas.

– Ogłoszenie parafialne – powiedział prawie żartobliwie, a ja zaśmiałam się słabo, z krótkim jak lot kolibra poczuciem ulgi. – Młody nie żyje.

Ciężar słów zawisł pomiędzy nami jak gęsty dym. Moje serce zamieniło się w ołów i spadło gdzieś w okolice żołądka. Nikt nie powiedział ani słowa, ja też nie, choć w głowie mi huczało, a myśli przekrzykiwały się jak na jakimś pieprzonym jarmarku.

– Wracał... z pracy – powiedział tylko Kruk. – W nocy, przez te cholerne przedmieścia.

Potem osunął się na podłogę i zaczął płakać. Spojrzałam na niego, nic nie rozumiejąc, i coś zakłuło mnie w gardle. Następny był Irek. Adam zaklął i rzucił rękawice w kąt. Długi wrzasnął i ukrył twarz w dłoniach. Siedzieliśmy w naszej salce bokserskiej, pomiędzy porozrzucanymi rękawicami i tarczami, ja i siedmiu wytatuowanych facetów, i ryczeliśmy na całe gardło. Opuściliśmy nasze gardy i zalewaliśmy się łzami, a gdzieś nad nami krążył mój przyjaciel, niebieski ptak. Potem usiadł na mojej rękawicy i również zaczął szlochać.

Roztopiliśmy się zupełnie w tej cichej rozpacz, a żarówka świecąca nam nad głowami błogosławiła nasz tępy smutek. Biedny Młody, biedny mały skurwysyn, który nie umiał poprosić o pomoc. Biedni my.



Nie miałam pieniędzy, żeby zapłacić za czynsz. Nagle stanęła przede mną wizja listopadowych nocy na ulicy i suchego chleba rzucanego gołębiom na stacji metra. I chociaż moje serce było sflaczałym workiem pełnym siana, nie mogłam przestać się przejmować.

Zadzwoniłam do fabryki i wpisali mnie na nowy grafik. Wielka naga żarówka tliła się nad naszymi głowami, a my montowaliśmy plastikowy wsad do okrągłego otworu i wkładaliśmy wszystko do czarnych torebek. Irek był ze mną; prawie nie rozmawialiśmy. Każdy patrzył na swoje kawałki plastiku i próbowaliśmy nie poruszać tematu Młodego. Potem odwozili nas na dzikie przedmieścia. Staraliśmy się iść razem jak najdłużej. Irek akurat mieszkał całkiem niedaleko mnie, więc szłam sama tylko jakieś dwadzieścia minut. Póki co pozwolili mi zostać w mieszkaniu do następnej wypłaty.

Jednak życie nie smakowało już tak, jak kiedyś. Mimo że zamierzałam nadal unosić się na powierzchni, wcale nie czułam się lepiej. Śmierć Młodego zawisała nad nami jak groźba wojny; była jak księżyc, który zaraz może spaść na nasze głowy. Jego śmierć sprawiła, że patrzyliśmy na siebie ze strachem. Dygotałam, idąc na trening, a moi kumple chyba przestali się starać. Ale to nadal było wszystko, co mi w życiu pozostało.

Aż pewnego dnia Kruk nie przyszedł na trening. To był pierwszy raz, kiedy nas nie uprzedził. Na początku nie wiedzieliśmy co robić – poskakaliśmy trochę na skakance, a potem zaczęliśmy na głos zastanawiać się, co mogło się stać.

– Może miał jakiś wypadek – powiedział Adam. – Albo po prostu się rozchorował.
– Raczej to pierwsze – uznałam. – Powiedziałby nam, gdyby był chory. Odebrałby przecież telefon.

Spojrzelśmy na siebie. Potem Irek zaproponował, że może poćwiczmy na tarczach. Niemrawo wzięliśmy przyrządy, owinęliśmy ręce i założyliśmy rękawice. Potem zrobiliśmy krótki sparing. Myślałam się w ciosach. Nie potrafiłam przebić się przez gardę Irka, a później sama nie utrzymałam swojej. Zanim się zorientowałam, leżałam na ziemi.

Niebieski ptak usiadł na parapecie i kręcił smutno głową.

Tej nocy znowu nie mogłam zasnąć. Zwlokłam się z łóżka, znalazłam w kieszeni kurtki jakieś drobne i powlokłam się do smutnego baru na końcu samotnej ulicy. Większość stolików stała pusta, tylko dwa w rogu sali i jeden przy drzwiach były zajęte. Zamówiłam piwo, usiadłam przy oknie i zagapiłam się w pełne neonów miasto. Moje życie było wiecznym czekaniem, a niebo było ciemnogrnatowe. Teraz też czekałam.

Ktoś, kto siedział przy stoliku obok, wstał ciężko i spojrzał na mnie. Ja też się odwróciłam.

Z początku nie poznałam go, ale coś w jego twarzy, jak wspomnienie, wdarło się w zakamarki moich posępnych myśli. Przyjrzałam się dokładniej i powoli się uśmiechnęłam.

– Pirat?

On też się uśmiechał, trochę jakby niedowierzał, że mnie widzi.

– Boże, Ika, gdzieś ty się podziewała przez tyle czasu.

– Przepraszam, Pirat – powiedziałam z prędkością błyskawicy, bo słowa kotłowały się w mojej głowie, a w gardle coś zakłuło. – Szukałam cię w budce przy porcie, ale już cię nie było... Myślałam, że wróciłeś na statki...

– Taa, lada dzień tam wracam. Przeniosłem się do innej części portu, gdzie mam widok na stare kutry rybackie. Myślę, że niedługo, kiedy zmienią się wiatry, popłynę z nimi.

Trochę zamgliło mi się przed oczami i chyba po raz pierwszy w tej starej spelunie ktoś puścił muzykę.

– Popłynęłabym z tobą – powiedziałam słabo. – Ale jutro muszę iść do pracy.

Pirat uśmiechnął się i puścił do mnie oczko.

– Co tylko chcesz, słonko.

Wypiłam kilka tyków piwa, a z głośników poleciała Tracy Chapman.

– Dobra, ja spadam – oznajmił Pirat. – Spotkamy się jeszcze kiedyś, jestem pewien.

Odwrócił się, a ja zastanawiałam się, gdzie do cholery schowało się moje marzenie i czy w ogóle kiedykolwiek istniało. Położyłam głowę na stole i przyszło mi na myśl, że może zasnę...

– Wstawaj, laska, zamykamy – usłyszałam poprzez strzępki pojawiających się w moim umyśle obrazów i głosów. Musiało być koło drugiej w nocy – mimo że był środek tygodnia, otwarte mieli zawsze do ostatniego trzymającego się w pionie klienta. Tym razem to ja byłam ostatnia, chociaż wcale nie trzymałam się prosto. Wyszłam na pustą ulicę i nie wiedziałam, czy jutro coś się zmieni. Hulał we mnie zimny wiatr, a ja przez chwilę byłam bezbronna. Pociągnęłam nosem i uniosłam głowę. Moje serce to nie otwarta autostrada, po której można się przejechać i uciec tylnymi bramkami, na pewno nie.

Kiedy dojechałam do zakładu, było cicho. Nie podobało mi się, że znowu mam nockę, bo wiedziałam, że nie będę mogła przyjść na trening. Oczywiście ta część, która zawsze mamiła

mnie obietnicami szczęśliwego życia i tego, że musi być dobrze, bo przecież na świecie nie dzieją się naprawdę straszne rzeczy, była pewna, że Kruk pojawi się na sali prędej czy później. Wszystko inne zostało chwilowo zepchnięte pod cienki dywan pracy, którą miałam wykonać; pracy, która pozwalała mi przetrwać i przeżyć kolejny dzień. Zostało jeszcze pół godziny do rozpoczęcia. Zbliżyłam się do bryły budynku i zrobiło mi się niedobrze. Z oddali zobaczyłam znajomą postać poruszającą się odrobinę chwiejnie, ale energicznie w moją stronę.

– A jednak cię tutaj przywiało, Marika. – powiedział Irek, wyciągając w moją stronę papierosa.

Pokiwałam lekko głową, czując się trochę przegrana, ale bardziej rozbawiona swoją własną przekorą.

– Znasz swoje marzenie? – zapytałam. – Bo ja mojego ni w cholerę nie mogę znaleźć.

Irek splunął pod nogi i uśmiechnął się.

– Nie wiem, ale trzeba walczyć, nie? Obojętne, czy wiesz dokładnie o co. Tak zawsze mówił mój stary.

Zapaliliśmy, a ja spojrzałam na gwiazdy, już pojawiające się o tej porze roku. Było zimno, ale wyraźnie czułam gdzieś w pobliżu słaby zapach bzu.

– Kruk nie wróci na trening. Jego ojciec zmarł od kulki.

Uśmiechnęłam się mimowolnie, słysząc ten gangsterski zwrot rodem z „Pulp Fiction”. Bo rozpacz rozlała się we mnie chyba dużo wcześniej, wcześniej niż zmarł Młody i na długo przed nieobecnością Kruka.

– Skąd wiesz? – zapytałam tylko.

Irek wskazał głową w górę, na gałąź drzewa. Uśmiechnęłam się, widząc mojego przyjaciela, niebieskiego ptaka.

– Ty wiesz, Marika, co my tutaj tak naprawdę robiliśmy, nie?

Spojrzałam na niego, wzruszając ramionami. Pokręcił głową.

– Broń palną, ot co.

Zaskoczył mnie, ale po chwili znowu wzruszyłam ramionami. Widziałam przecież ciężarówkę na rosyjskich numerach, podjeżdżając bocznymi drogami na zaplecze magazynu. Wyobrażałam sobie, jak części wędrują potem na statki i dalej, tam, gdzie nasza praca naprawdę miała ZNACZENIE. Odetchnęłam i spojrzałam na Irka. Oboje wybuchliśmy krótkim, pełnym ulgi śmiechem. Oboje wiedzieliśmy, że już tam nie wrócę.

Ostatecznie przecież wszyscy walczymy na tym samym froncie.

Obeszliśmy fabrykę i z tyłu, gdzie mieścił się magazyn z kartonami i lekkim plastikiem, przystanęliśmy, patrząc jednocześnie na pełen benzyny, przedziewiały bak starego żuka zaparkowanego za pobliskim krzakiem.

Po wszystkim zapaliliśmy papierosa i rzuciliśmy niedopałek na jego miejsce. Wiedziałam, że alarm przeciwpożarowy działa sprawnie i prawdopodobnie nikomu nie stanie się krzywda. Być może nawet cała ta akcja nic nie zmieni. Wróciliśmy na swoje miejsce, pod drzewo, do mojego przyjaciela. Z budynku powoli zaczęli wybiegać ludzie.

Niczego już od nas nie chcieli. My też niczego od nich nie. Byliśmy wolni. I wtedy wyrosły nam skrzydła.

KRÓTKA HISTORIA PEWNEGO UCZUCIA

3

Zespół maniakalno-depresyjny rozwija się latami. Ja od trzech tygodni mam kurs przyspieszony. Konkretnie od ostatniego spotkania.

Płonę morderczą nienawiścią do ciebie i siebie, na zmianę.

Unoszę się dumą i wystudiowaną obojętnością, aby po godzinie, dwóch, z górą pół dnia, rozplakać się z tęsknoty zalegającej w sercu kłującym żwirem. Skutecznie odganiając myśli, pracując. Bardzo dużo pracując, po to tylko, by dobrze po północy zapaść się katatonie rozpamiętywania.

A to nie miało tak być

. Myślałam, że skoro jestem od ciebie dwa razy starsza, to nie ja będę cierpieć

. Naiwna. Zapomniałam, że to zawsze jest ostrze obosieczne.

Teraz, sama jak gówniara, wyglądam cię skrycie jak wracasz do domu. Czytam twojego bloga ciągle i ciągle od nowa, szukając między słowami odniesień, których tam nie ma.

Pieprzony szef. Pieprzony Daniel. Jakby pierwszy się nie uparł, że muszę osobiście nadzorować wdrożenie tego projektu, a drugi akurat nie wyjechał na trzymiesięczną delegację, nic z tego by się nigdy nie wydarzyło. A tak na gwałt musiałam poszukać opieki do dzieciaków na popołudnia.

Nie mam pojęcia, czemu powiedziałam o tym akurat twojej mamie. Nawet jej nie lubię. Nie raz przecież śmiałam się, sama do siebie, z jej nadąsania, pedanterii i wiecznych pretensji. O to, że co rusz jakaś piłka, lotka albo inna rzecz ląduje w jej ogródku. O to, że stokrotnie z naszego rzadko koszonego trawnika przesiewają się do niej. Ale byłam zdesperowana, wściekła, a ona akurat znowu pielęła klomby, więc wylałam swoje, spotęgowane zaostrzającą się presją czasu, zmartwienia i frustracje.

Jakież było moje zdziwienie kiedy zaproponowała cię jako opiekę do Marty i Pawełka. Znak cię jedynie pobieżnie, z sąsiedzkiego „dzień dobry – dzień dobry”, nie dowierzałam w jej zapewnienia o twojej wrażliwości, empatii i dobrym podejściu do dzieci. Kiedy na ciebie patrzyłam, wydawało mi się to niemożliwe – te wygolone włosy, wyciągnięte czarne koszulki, glany. Nie miałam jednak wyboru. Potem byłam w stanie uwierzyć już we wszystko.

Zaczęło się oczywiście niewinnie i dość szczerze. Krótkie wymiany informacji po moim powrocie z pracy, gdy dzieci już spały, z czasem przeradzały się w coraz dłuższe i bardziej intymne rozmowy. Ujęła mnie twoja szczerość, bezpośredniość, nastoletnia naiwność, ale przede wszystkim odwaga. Odwaga, której ja w sobie nigdy nie miałam. Sama nigdy nie zmierzyłam się z ryzykiem, by zrobić coś takiego.

To był dla mnie szok – chwila kiedy nasze usta spotkały się po raz pierwszy. Gdzieś podświadomie wyczekiwana. Pielęgowana w zakamarkach wyobraźni, a jednak szokująca, gdy to się w końcu stało. Potem, każdego wieczoru, działo się coraz więcej i więcej.

W dzień odbierające rozum wyczekiwanie. Wieczorem obezwładniająco przyjemne drżenie, roztapianie w gorącej, wilgotnej rozkoszy. Bez pamięci, bez sensu.

Wszystko skończyło się równie gwałtownie, jak się zaczęło. Z powodów błahych, jak w tanim romansie. Projekt się skończył, Daniel wrócił do domu. Zabrakło wymówek, by się spotkać. Chęci z twojej strony już też zabrakło.

Czytam twojego bloga. Wnioskuje, że pojawił się ktoś inny, w twoim wieku, ze szkoły.

Rozsądna część mnie podpowiada, że tak będzie lepiej. Resztę umysłu i ciała ogarnął obłęd.

Ale jakoś się układa, stopniowo uspokaja, wycisza. Oswajam się z tym, czego dowiedziałam się o tobie i sobie przede wszystkim. Wypieram. Zapominam. Dla własnego i innych dobra. Mam przecież cudownego męża i dwójkę dzieci. Normalną rodzinę. Tylko ten mąż czasem pyta, czy coś się stało, kiedy go nie było. Podobno zdarza mi się płakać przez sen i cicho szeptać : „Patrycja”.



OD ŚWITU DO ŚWITU

4

Wstaje słońce.

W szarzejącej materii powietrza złote promienie wystrzelują zza horyzontu i mkną przez równinę, by zajrzeć do wnętrza pustej Fabryki. Niektóre trafiają na okna pozbawione szyb – te łatwo przedostają się dalej, by podążyć w stronę uśpionych ruin miasteczka. Inne muszą walczyć z zastępami pajęczyn, skamieniałej sadzy i kurzu pokrywającego spękane szkło. To one – zmuszone do przeciskania się wąskimi prześwitami, odbijane pod wszelkimi kątami – docierają do najdalszych zakamarków, budząc śpiące pod wysokim dachem hali ptaki i przeganiając gryzonie spacerujące po wypaczonych ramionach maszyn, sparciałych pasach transmisyjnych i zastygłych w bezruchu kołach zamachowych.

Minąwszy Fabrykę, światło dnia podąża wzdłuż nieużywanej od lat drogi, prowadzącej do opuszczonej miejscowości. Wydłużone cienie obumarłych drzew przypominają macki, bezskutecznie sięgające ku stojącym na skraju budynkom.

Panuje cisza.

W tej ciszy kroki mężczyzny idącego między skamieniałymi kikutami brzmią wyraźnie i ostro. Jakby każdy poruszony przez jego stopę kamień korzystał z możliwości udowodnienia, iż mimo lat bezruchu i jakiegokolwiek interakcji wciąż jeszcze istnieje. Mężczyzna idzie szybko, zmierza pewnie do celu. Przyciemniane gogle chronią jego oczy przed ostrym słońcem. Twarz skrywa wypłowiała chusta, włosy – kaptur dopasowanej kurty, naciągnięty głęboko na czoło. Sznurowane buty i wzmacniane na szwach spodnie dopełniają całości stroju. Do tego skórzany worek przytroczony do pleców wygodnym systemem rzemieni oraz pas obciążony nożem, prymitywną kuszą i zapasem bełtów.

Na pierwszy rzut oka widać, iż mężczyzna jest doświadczonym podróżnikiem. To Poszukiwacz.

Jednak nie na niego czekamy.

Kantyna rozbrzmiewała gwarem zmieszanych głosów. Ponad nimi unosiły się aromaty przypraw, zapach zmuszającego drewna i kurz naniesiony z zewnątrz. O tej porze większość mieszkańców przewijała się przez jadalnię i ktoś niepochodzący stąd mógł sobie łatwo wyobrazić, ile głów liczy osiedle. Niedużo, ale i немало jak na okolicę, która dopiero od niedawna zaczęła się na powrót zaludniać.

Poszukiwacz siedział w kącie, wsparty o ścianę, i obserwował. Gęsta zupa stygła powoli, a mężczyzna jakby zapomniał, po co właściwie tu siedzi. Rzadko miał okazję bywać pomiędzy ludźmi i wszystko, co widział, jednocześnie odpychało go i fascynowało.

Najbliżej niego, pochylając głowy ku sobie, siedziały dwie młode kobiety. Dawno już skończyły posiłek, a teraz jedna tłumaczyła coś drugiej szeptem. Nieco dalej stolik okupowała rodzina. Ojciec jadł w milczeniu, od czasu do czasu przesuwał spojrzeniem po żonie i dzieciach, niczym pies pasterski sprawdzający liczebność stada. Dziewczynka prowadziła targi z chłopcem i kiedy dorośli nie patrzyli, do jego miski powędrowała rozgotowana brukselka. Matka karmiła najmłodsze dziecko, sprawdzając wprawdzie temperaturę każdej porcji na własnych wargach. Jej ruchy zdawały się Poszukiwaczowi pozbawione woli, jakby poruszał się mechanizm, nie żywa kobieta.

Mężczyzna z trudem oderwał od niej wzrok i zanurzył w zupie łyżkę, którą do tej pory ścisnął bezcelowo w dłoni.

– Cholerne...! – nie dokończył, mając w głowie długą litanię przekleństw pod adresem drżących rąk i własnej bezmyślności, która pozwoliła mu nie złożyć mapy przed rozpoczęciem posiłku.

Teraz pojedynczy skrawek bladego ptasiego mięsa pysznił się w miejscu, w którym Poszukiwacz nie zdążył jeszcze zaznaczyć nowego osiedla, a wielokrotnie składany i rozkładany papier wchłaniał brudnopomarańczową ciecz.

– Lepiej wytrzeć!

W pole widzenia mężczyzny wjechała chusteczka, a jego nos zarejestrował nasilenie aromatu przypraw. Poszukiwacz z niechęcią podniósł wzrok. Przed nim stało dziecko, którego wieku nie potrafił określić.

– Wytrzeć! – powtórzyło, szeroko otwierając usta i wytrzeszczając na niego błękitne oczy.

Poszukiwacz nie zareagował, a stworzenie wzruszyło ramionami i sięgnęło przez stół do plamy. Chwilę później – mimo braku zaproszenia – klapnęło na ławę i zaczęło żuć zdobyty podstępem kawałek mięsa, który jeszcze chwilę temu pełnił funkcję tymczasowego znacznika osady.

– Jestem Alicja. A ty?

– Poszukiwacz – odpowiedział i zaczął składać mapę.

– Nie składaj teraz, poczekaj, aż wyschnie. A Poszukiwacz to nie imię.

Mężczyzna nie odpowiedział. Ułożywszy płachtę mapy na ławie obok siebie, wrócił do jedzenia. Ręce wciąż mu się trzęsły, a pod wpływem wzroku najwyraźniej nie zniechęconej dziewczynki nawet bardziej.

– Tato mówił, że Poszukiwacze szukają Duszy i że to głupie.

Mężczyzna zaryzykował pojedyncze spojrzenie znad talerza. Mała siedziała, opierając szpiczasty podbródek na złożonych dłoniach, i przyglądała mu się z przekrzywioną lekko głową.

– Może ci pomogę, bo zaraz wszystko rozlejesz? Jesteś zły? Tacie trzęsły się ręce, jak był zły.

– Może do niego pójdziesz? – Z premedytacją udał, że nie zauważył czasu przeszłego w jej słowach.

Potrząsnęła głową, spoważniała, ale nie posmutniała i to wywołało w nim poczucie wstydu.

– Tato umarł w zeszłym roku – wyjaśniła. – Mogłabym pójść z tobą.

Drgnął zaskoczony.

– Gdzie?

– No, do Bielawy... – Teraz jej ton wyrażał zdziwienie. – Niby gdzie idziesz, jak tam właśnie jest Fabryka?

– Gdzie jest ta twoja Bielawa? – spytał, odsuwając talerz niedojedzonej zupy, który dziewczynka obrzuciła tęsknym spojrzeniem. – Potrafisz pokazać? – Położył mapę z powrotem na stole i wycelował palec w środek tłustej plamy. – Tu jest wasze osiedle. Skoro myślałaś, że tam właśnie idę, to musi być blisko, tak?

– Co to?

Alicja przesuwiała palcem po niebieskiej kresce, oznaczającej rzekę. Cienkie dziecięce brwi niemal się zetknęły, tak była zafrapowana.

Poszukiwacz uśmiechnął się pod nosem.

– To rzeka. Woda płynąca po ziemi z gór do morza.

– Wiem, co to rzeka – parsknęła, najwyraźniej oburzona jego tłumaczeniem. – A skąd ci, co to rysowali, wiedzieli, że akurat wtedy popłynie? Przecież po każdym deszczu jest inaczej.

– Wiesz, co robiła ta Fabryka? Co w niej produkowali? – Zignorował pytanie, nie miał ochoty na rozmowę o tym, jak było, a jak jest.

Alicja wydeła wargi.

– Powiem ci, jak mnie zabierzesz ze sobą.

– Bez łaski. – Wzruszył ramionami. – Nie ty, to ktoś inny mi powie. Mam uwierzyć, że jesteś jedyną w okolicy powierniczką tajemnicy?

– Kim?

Zaśmiał się szczerze, patrząc, jak obracające się w głowie trybiki marszczą dziewczęcą buzię.

– Najprościej mówiąc, znaczy to, że nie wierzę, że tylko ty o tym wiesz. Miło, że mi powiedziałeś, ale nie szantażuj mnie, smarkulo. To nie spacer, a ty nie wyglądasz na Poszukiwacza.

– Odchylił się do tyłu, mocniej oparł plecy o ścianę. Kantyna wyludniała się powoli, ludzie wracali do swych obowiązków, a szefowa jadalni stanęła w drzwiach kuchni i przeszywała go niezadowolonym spojrzeniem. – Czy ty czasem nie powinnaś zająć się jakąś pracą? – Teraz on zmarszczył brwi, usiłując nadać swej twarzy surowy wygląd.

Mała prychnęła.

– Już za mną wygląda, co?

Poszukiwacz kiwnął głową, a dziewczynka westchnęła i posłusznie się podniosła. Znow go zaskoczyła, bo spodziewał się dłuższych targów.

– Robili tam materiały, malowali je na wszystkie kolory i potem szyli ubrania – rzuciła i w jej głosie mężczyzna usłyszał rezygnację, choć w oczach wciąż jeszcze tliła się nadzieja.

Nie próbował jej podsycać. Po prostu opuścił wzrok na mapę i wodził palcem wzdłuż rzek niegdyś przepływających w rozsądnej odległości od osiedla, podczas gdy mała ze spuszczoną głową szła między stołami, zbierając pozostawione tu i ówdzie miski.

Tkálnia – myślał, gorączkowo przeszukując mapę.

Już nie tylko ręce mu się trzęsły. Słyszał stukot własnych zębów uderzających o siebie w jednostajnym rytmie szybko pracujących krosien. Serce waliło z opóźnieniem niczym tłok gładko wsuwający się w cylinder, na skórę wystąpił tłusty pot. Przymknął oczy. Oddychał płytko, w ustach czuł suchość, w uszach nacisk.

Ostatnią Duszę oddał Profesorom pięć miesięcy wcześniej.

Brakowało mu obrazów, wspomnienia powoli się zacięrały.

Potrzebował ich.

Nie poczuł uderzenia. Po prostu coś wyrwało go z transu, a gdy udało mu się skoncentrować spojrzenie, zobaczył przed sobą kobietę, którą jeszcze chwilę wcześniej oddzielała od niego cała szorakość pomieszczenia. Pocierała dłoń i skojarzył ten gest z piekącym policzkiem.

– Zjadłeś – stwierdziła, patrząc na w połowie pełną miskę, a on uznał, że nie ma sensu się kłócić.

Znow kiwnął głową, wstał i pozbierał swoje rzeczy, a drgawki wstrząsały jego ciałem. Wychoząc, czuł na sobie spojrzenia nielicznych osób, które jeszcze pozostały w kantynie.

Alicja nie dała za wygraną. Może jej wcześniejsza rezygnacja była udawana, z może nabrała nowej nadziei, szorując kocioł po zupie.

– Ten kocioł kiedyś mnie wykończy! – westchnęła teatralnie i uniosła dłoń do czoła, a on pomyślał, że pewnie podpatrzyła ten gest u kucharki. – Jaszczurka?

Podążył spojrzeniem za jej palcem, którym celowała w metalowy ruszt rozstawiony nad ogniem.

– Jaszczurka – odparł, tłumiąc westchnienie, gdy dziewczynka usiadła przy ognisku, jakby miała do tego pełne prawo. – Masz ochotę?

– Jestem po kolacji, ale gdyby się miała zmarnować...

– Nie będą cię szukać? – Obrócił ruszt i spojrzał na nią uważnie. – Już ciemno.

– Myślą, że śpię. Wysłałam przez okno.

– Nie boisz się kłopotów?

Wzruszyła ramionami i zapatrzyła się w ognisko. Zrezygnował z dalszych pytań i przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Gałązki trzaskały, trawione ogniem, od czasu do czasu rozlegał się syk, gdy kropla tłuszczu odrywała się od pieczeni i spadała w płomień. Od strony osiedla, powoli pogrążającego się w nocnym odpoczynku, nie dochodził żaden dźwięk.

– To przez Dusze jesteś chory?

Jak zwykle go zaskoczyła. Z jakiegoś powodu nie spodziewał się, że dziecko może z taką łatwością łączyć fakty i wyciągać wnioski. Uświadomił sobie, jak niewiele wie o ludziach z osiedli, a o dzieciach w szczególności, i poczuł się zawstydzony. To nie było racjonalne uczucie, bo przecież nie miał obowiązku wiedzieć czegokolwiek. Jego życie i ich życie to były dwie różne sprawy, a ich stykiem były jedynie przedmioty, jakie czasem znajdował w Fabrykach, a które oni mogli wykorzystać, więc za nie płacili.

– Czemu tak myślisz?

– Zrobiło ci się gorzej, jak powiedziałam o Bielawie. I potem Helena cię uderzyła, bo w ogóle jej nie słyszałeś, jak do ciebie mówiła. Byłeś gorący, powiedziała, że sparzyłeś jej rękę. Bardzo bolało? Ona potrafi się zamachnąć.

– Biję cię?

– Jasne, że zdarzyło mi się oberwać, ale to nie tak, że bez powodu. Helena jest dla mnie miła, ale czasem mamy rozbieżność poglądów.

Parsknął śmiechem, nim zdołał się powstrzymać, i nagle zrozumiał, że towarzystwo dziewczynki sprawia mu przyjemność.

– Wracaj do domu – powiedział, poważniejąc. – Nie wezmę cię ze sobą.

Jakimś cudem początkowo zdołała pozostać niezauważona.

W dniu, kiedy szczęście ją opuściło, Poszukiwacz ujrzał na horyzoncie wzniesienia. Szedł w ich kierunku, mocniej niż dotychczas wyciągając nogi, dopóki dały się dostrzec na tle ciemniejącego nieba.

Gdy zniknęły, zlewając się z nocą, zdjął plecak, odpiął od niego koc i ustrzelonego za dnia ptaka, po czym z zebranych w drodze gałęzi rozpałił niewielkie ognisko. Ustawiwszy ruszt, zajął się wieczornym rytuałem: rozłożył mapę i próbował ocenić, jaką odległość zdołał przejść. Potem z kieszeni wszytej po wewnętrznej stronie kurtki na wysokości piersi wyjął pojedynczą kartkę cienkiego papieru i, jak każdego dnia wędrówki, długo się jej przyglądał. Nie musiał czytać wyblakłych, ledwie widocznych słów, by wiedzieć, o czym opowiadają.

O patencie dla człowieka nazwiskiem Nobel. O rządzie zamorskiego kraju, który zapłacił innemu krajowi, by ten zrzekł się praw do ogromnego półwyspu pokrytego lodem. I o nowej hucie w Duisburgu, która miała być największą w całym Zagłębiu i której Dusza okazała się wadliwa.

Ojciec przyniósł tę gazetę z nocnej zmiany. Czytał ją na głos, powoli i ostrożnie wymawiając słowa, a powietrze w niedużej kuchni gęstniało od niepokoju.

Kilka tygodni później Fabryki zaczęły umierać.

Ognisko przygasło i Poszukiwacz zamrugał, wyrwany z zamyślenia. Dołożył więc do ognia, obrócił ptaka i wtedy ją usłyszał. Podeszła do ogniska na pierwsze wezwanie, wyraźnie wystraszona. Mężczyzna patrzył na nią zdumiony. Oczekiwał, że jego okrzyk spłoszy zwierzę, a w najgorszym wypadku, że do Fabryki w Bielau u podnóża Sowiogór zmierza ktoś podobny do niego. Bo tego, że podąży za nim dziecko, które powinno właśnie czyścić kocioł po zupie pod czujnym okiem swej opiekunki, nie spodziewał się w ogóle.

– Co tu robisz, smarkulo?

Mała zrobiła krok w tył i dopiero wtedy zorientował się, że stoi, górując nad nią z zaciśniętymi pięściami. Cofnął się i skrzyżował ręce na piersi.

– Po co za mną leziesz? – powtórzył

– Nie powiedziałeś mi, jak ci na imię! – wypiliła po chwili milczenia, najwyraźniej zrozumiawszy, że nic jej nie grozi.

Teraz on milczał, walcząc z cisnącym się na usta uśmiechem.

– Georg – powiedział w końcu. – Mam na imię Georg, a jutro rano wracasz do domu, Alicjo. Nie posłuchała.

Do ruin Bielawy dotarł w ostatniej godzinie dnia. Czerwone słońce dotykało już horyzontu, gdy postawił stopę na głównej ulicy miasteczka. Szedł ostrożnie. Zsunawszy gogle, rzucał dookoła krótkie, uważne spojrzenia, obracając nie tylko głowę, ale całe ciało. Jednak życie tutaj przejawiało się jedynie cherlawymi żdźbłami traw, wystającymi spomiędzy równo ułożonych brukowych kostek, oraz krzywymi drzewkami kruszącymi ceglane gzymsy niegdyś reprezentacyjnych budowli.

Nocował w szkole. W dawnej sali gimnastycznej znalazł kilka wypchanych końskim włosiem materaców, z których ułożył sobie wygodne posłanie. Zasnął, dopiero gdy usłyszał skrzypnięcie drzwi i nieudolne próby zachowania ciszy.

Śnił mu się ojciec.

Znów było lato, maszyny w odlewni Kruppa działały, na Essen spadał miękki deszcz sadzy, a ziemia drżała lekko w rytm młotów formujących stal w płyty, którymi od niedawna zaczęto okrywać kadłuby okrętów. Ojciec czekał na niego przed bramą, zmęczony i głodny, ale jak zwykle skory do żartów i – przetykając łapczywie wielkie kęsy chleba i kielbasy – rysował mu na twarzy wąsy brudnym od smaru palcem.

Gdy Poszukiwacz ocknął się na godzinę przed świtem, czuł pieczenie łez pod powiekami i długo leżał, czekając, aż odpuści ściśnięte gardło.

Potem wstał, ostrożnie przejrzał zawartość plecaka, zdecydował, iż na śniadanie będzie ostatni kawałek chleba, który podzielił równo na dwie części, oraz twardy, słony ser krojony w cienkie, niemal przezroczyste plastry. Jadł powoli, popijając oszczędnie, gdyż mimo nadziei, jaką wzbudzały w nim widoczne na ruinach drzewka, nauczył się już dawno, iż czasem woda dostępna roślinom nie jest łatwa do odnalezienia dla ludzi.

Zanim wyszedł, ułożył na brzegu posłania kilka plastrów sera, drugą część chleba i połowę napoczętej manierki wody.

Poszukiwacz otwiera wrota prowadzące na halę. Nieużywane od lat zawiasy protestują przeciągłym jękiem. Odpowiada im łopot skrzydeł i tupot upazurzonych łapek.

Mężczyzna odwija z twarzy chustę i oddycha głęboko. Potem ściąga gogle. Mocując je do pasa, rozgląda się powoli. Jednocześnie liczy oddechy. To pomaga mu się skoncentrować, odsunąć pragnienie, które dręczy jego serce.

Od lat błdzi między nami, spragniony przeszłości, jaką pokazujemy. Nie chce wierzyć, że to jedynie cienie, których nie da się odzyskać. Odrzuca nasze prośby i z każdym dniem cierpi bardziej.

Profesorowie, w których pokłada nadzieję, niczego nie odkrywają. Nie mogą, bo tego nie chcemy. Naszą wolą jest odejść, a nadzieją mała dziewczynka.

Alicja krążyła niespokojnie wokół budynku. Była na siebie zła – zasnęła, co zapewne bardzo ucieszyło Poszukiwacza. Całą drogę zostawiał ją z tyłu, jednocześnie pilnując, by miała co jeść, jakby nie mógł się zdecydować, czy chce ją mieć przy sobie, czy nie.

A teraz on był w środku, a ona nie wiedziała, co robić. Zmierzch zbliżał się nieubłaganie i dziewczynce coraz trudniej przychodziło opanowanie lęku, nasilającego się z każdą chwilą spędzoną w pobliżu martwej Fabryki.

W końcu z trudem pchnęła wysokie drzwi i niezdecydowana stanęła na progu. Jej serce biło mocno, napędzane strachem i ciekawością. Poszukiwacz sprawił, że bała się wejść do środka – uśpiona moc maszyn była niebezpieczna. To ona powodowała jego chorobę, to przez nią trzęsły mu się dłonie, a ciało płonęło gorączką. I to ona na długo przed urodzeniem dziewczynki, wiedzioną niepojętym kaprysem, zmieniła raj w żółte, piaszczyste piekło.

Z drugiej strony całe jej dotychczasowe życie to zbiór tych samych czynności i tych samych twarzy dookoła. Monotonia i oczywista przyszłość. Alicja niewiele w swym życiu widziała, ale знаła wiele opowieści, a teraz czuła, że stoi przed szansą, by wziąć udział w jednej z nich. No i był jeszcze Poszukiwacz. Minął już cały dzień, a on nie wyszedł z Fabryki. To wzbudzało niepokój i chęć działania.

Mimo wczesnego zmierzchu wewnątrz tonęło w półmroku. Z cieni wyłaniały się kształty nieznanym dziewczynce mechanizmów. Lekki przeciąg poruszał resztkami poszarpanych nici zwisających z drewnianych ramion i Alicja pomyślała, że to muszą być krosna, o których opowiadał jej ojciec. Przyglądała się im zafascynowana, niemal bezwiednie posuwając się w głąb pomieszczenia.

Z każdym krokiem lepiej wiedziała, dokąd iść. Jakby coś wołało ją poprzez ściany i sufit, prowadząc pewnie między zdewastowanymi maszynami.

Posłuszna wezwaniu, wspięła się dziurawymi schodami na piętro, przeszła kolejno przez trzy pokoje, a na podłodze czwartego, między biurkiem a wysokim rzeźbionym zegarem, znalazła Poszukiwacza.

– Pusto... tak pusto...

Dalsze słowa utonęły w szczękaniu zębów. Mężczyzna pozostawał nieprzytomny. Rozpalonym ciałem wstrząsały drgawki, czoło rosił pot. Nie wiedziała, jak długo leżał, zanim go znalazła. Wiedziała za to, że błędząc po Fabryce w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby go okryć, nie znalazła zbyt wielu śladów. A przecież ktoś przetrząsający Fabrykę w poszukiwaniu Duszy powinien zostawić po sobie jakieś tropy.



OD ŚWITU DO ŚWITU
RYS. I. PACEK

Dziewczynka nie wiedziała, co robić. Wyczerpała już wszystkie znane sobie sposoby walki z chorobami. Okryła chorego kocem, podała wodę z tej samej manierki, którą zostawił dla niej o świecie, i zrobiła mu okład na czoło, martwiąc się, iż w ten sposób szybko wyczerpie mizerny zapas, którego nie poprawiło znacząco przeszukanie plecaka mężczyzny.

Czuła się nieswojo, grzebiąc w cudzych rzeczach, nawet jeśli wiedziała, że to konieczne. Przyszło jej też do głowy, że być może niedługo zostanie właścicielką skromnego dobytku Poszukiwacza, i ta myśl przyprawiła ją o łzy.

Plakała cichutko, walcząc z niechcianą słabością, a ciemność, której słabe księżycowe promienie nie dawały rady rozprościć, powoli okrywała Fabrykę.

Dopiero głośniejszy jęk Poszukiwacza wyrwał Alicję z rozpaczy. Ledwie widziała kształt jego ciała pod kocem, choć siedziała o krok od niego. Z ciemnych zakamarków dobiegały ją piski gryzoni i strach znów zdominował jej uczucia. Musiała działać, bo jeśli w ogóle mieli mieć jakieś szanse, konieczne było, by dotrwali do rana.

Z pochwy przy pasie Poszukiwacza wyjęła nóż i ruszyła na obchód pomieszczenia. Potrzebowała czegoś, z czego można rozpaścić ognisko, a nawet więcej ognisk, by szczury nie ważyły się do nich podejść. Materiału znalazła aż nadto. Pomieszczenie obito wąskimi deszczułkami, a odrobina siły i żelazny pręt znaleziony pod oknem – noża bała się stępić – wystarczyły, by pozyskać zapas drewna na resztę krótkiej nocy.

Samo rozpalać okazało się trudniejsze, niż myślała. W rzeczach Poszukiwacza znalazła krzesiwo i nieco pakul owiniętych w natłuszczony papier, ale potrzebowała kilkunastu prób, zanim udało jej się skrzesać pierwszą iskrę. W międzyczasie dwa razy podała mężczyźnie odrobinę wody i wytarła mu czoło, a także przytrzymała koc, gdy próbował go zsunąć.

W końcu pierwsze ognisko zapłonęło i w ciemności poza jego kręgiem zaświeciły oczy szczurów. Alicja pospiesznie ułożyła trzy kolejne stosiki i podpaliła je, wykorzystując płonącą szczapkę z pierwszego ogniska. Potem przysunęła się do Poszukiwacza i delikatnie pogłaskała wilgotny od potu policzek mężczyzny. Za jej plecami szczurze pazurki drapały podłogę, a wątle płomyki wydawały się mizerną ochroną i szybko pożerały wysuszone paliwo. Alicja jeszcze raz sięgnęła do pasa chorego i wyjąwszy kuszę, przez chwilę biedziła się z jej złożeniem. Gdy to się wreszcie udało, poczuła się bezpieczniejsza.

Czas płynął powoli, księżyc przesunął się po niebie, a mała dziewczynka dokładała pojedyncze drewnienka do ognisk i pilnowała, by nieprzytomny mężczyzna zbyt długo nie pozostawał odkryty.

I kiedy zmęczenie wreszcie zaczęło dawać o sobie znać i głowa dziewczynki raz, a potem drugi opadła na pierś, Alicja znów poczuła zew, który wcześniej kazał jej wejść na górę. Zapomniała o nim, a teraz napierała na nią zewsząd i domagał się uwagi.

Oprzytomniała i zaczęła nasłuchiwać. Pojęła, że nie zrobiła rzeczy najważniejszej. Nie spróbowała odnaleźć Duszy, a przecież najwyraźniej jej brak czynił Poszukiwacza chorym. Musiała to naprawić, ale najpierw należało zatroszczyć się o mężczyznę. Zmieniła okład, zwilżyła mu wargi wodą, a potem kolejno dołożyła drewna do każdego ogniska. Wreszcie pochyliła się nad nieprzytomnym.

– Nie martw się, zaraz wrócę – obiecała i musnęła ustami rozpalony policzek.

W jedną rękę chwyciła naciągniętą kuszę, w drugą ujęła płonące drewnienko. Tak uzbrojona zrobiła pierwszy krok poza bezpieczny krąg światła. Szczury z piskiem uciekły jej spod nóg i ze strachu omal nie wypuściła kuszy. Zrobiła jednak kolejny krok, a potem jeszcze jeden, wyciągając jak najdalej dłoń zbrojną w ogień. W uszach słyszała szum zbyt szybko tłoczonych krwi. Wokół niej Fabryka nabierała życia, jakby zew spotęgował nocne odgłosy, uwalniając dźwięki zastygłe w maszynach.

Nie musiała iść długo. Ledwie przestąpiła próg kolejnego pokoju, wiedziała, że dotarła do celu. Zew przyciągał dziewczynkę do ściany niczym zabawkę na sznurku. Chwiejny płomień wydobył z mroku przekrzywiony obraz, spod którego wyciekała moc. Alicja zdjęła go ostrożnie jedną ręką, wcześniej odłożywszy kuszę. Pod obrazem znalazła skrytkę – otwartą, gdyż jej mechanizm był tak samo martwy, jak wszystkie inne w Fabryce – i wstrzymując oddech, sięgnęła do niej powolnym, rozciągniętym ruchem. Palce dotknęły czegoś miękkiego, co nie wydawało się groźne, więc wsunęła je głębiej. Po omacku badała zawartość skrytki. Gardło dziewczynki wy-

schło, serce uderzało szybko i boleśnie. Znaleziona sakiewka skrywała coś twardego, a – jak się okazało chwilę później – także ciężkiego. Teraz wystarczyło ją wyjąć i wrócić do pokoju, w którym został Poszukiwacz. Alicja, wciąż napędzana strachem, pokonała drogę powrotną w kilku długich skokach. Z sercem blokującym gardło kucnęła przy mężczyźnie i po krótkiej walce ze splątanymi sznurkami wyrzuciła na podłogę zawartość sakiewki.

Niepozorny, szary walec stuknął głucho o podłogę.

Emanował nakazem.

Dziewczynka nie potrafi się oprzeć. Wyciąga ręce i kładzie je na walcu. Chłód mrozi niewielkie dłonie. Rozwijamy wokół niej ekran pustki. Znika gabinet, biurko i rzeźbiony zegar. Zalega całkowita cisza. W tej ciszy tworzymy obrazy. Najpierw niewyraźne, jakby rozmazane, wkrótce nabierają ostrości.

Plac budowy, a na nim nieznanne Alicji maszyny. Rosnące w górę budynki, szeregi ludzi przy bramie. Ramiona krosien, które poruszają się rytmicznie, i białe kłaczki wirujące w zmiennych prądach powietrza. Młoda kobieta zgina się w ataku kaszlu, a potem osuwa na ziemię; z jej ust wypływa krew. Tłum przepycha się u wrót hali, płomienie z upuszczonej lampy obejmują worki pełne bawełny. Ktoś tańczy. Obrazy przesuwają się szybko, jeden po drugim. Alicja nie rozumie połowy z tego, co widzi, ale potrafi rozpoznać radość i smutek, dumę i wstyd, wiarę i złość widoczne na twarzach ludzi poruszających się po Fabryce.

Patrzy zafascynowana. To życie, jakiego nie miała i do którego tęskniła. Chciałaby wejść do środka i dotknąć któregoś z podrywanych przeciągiem delikatnych strzępków. Ale nie może i niemoc rodzi ból.

Nasz ból.

Dzielimy go z nią, jak dotąd dzieliliśmy z Poszukiwaczem.

Alicja jednak – w przeciwieństwie do leżącego bezwładnie z naszej winy mężczyzny – pojmuje to.

Naprawdę? – pyta, nie używając głosu. – Naprawdę tego właśnie chcesz?

A potem, posłuszna prośbie zawartej w odpowiedzi, mimo piekącego żalu odrywa dłonie od chłodnych ścian naszego więzienia. Chwyta ten sam pręt, którym podważała deseczki pokrywające ściany, i z całej siły uderza nim walec. Raz, drugi, trzeci, dziesiąty, dopóki ma siłę unosić ciężkie żelazo i dopóki cela nie pryśnie, rozbita na drobne kawałki.

Mała dyszała ciężko, nogi ugięły się pod nią, a pręt wypadł z pozbawionych czucia rąk. Ściany wokół falowały łagodnie, jakby wchłaniając uwolnioną Duszę. Przed oczami Alicji tańczyły powidoki obrazów, w uszach gasły ostatnie echa obcego głosu. Serce powoli zwalniało rytm. Drżały jej ramiona – ciało pozbywało się napięcia. Zmysły wracały do zwykłego stanu i poczuła chłodny powiew poruszający powietrze w pomieszczeniu. A potem usłyszała wyszeptane cicho, lecz wyraźnie:

– Alicja?

Kłęcząca dziewczynka podniosła wzrok i napotkała zdziwione spojrzenie Poszukiwacza.

Za oknem wstawało słońce.

WĘDROWNI TANCERZE

5

Dziewczyna spojrzała błagalnie na ojca, ale on pokręcił głową.

– Nie, Magda. Nie, nie i jeszcze raz nie! Kobiecie nie przystoi zadawać się z niedźwiednikami. Ucz się lepiej od Maliny, bo to ją w przyszłości zastąpisz.

– Ale...

– Koniec rozmowy.

Dla podkreślenia wagi swoich słów mężczyzna sięgnął po tytoń i zajął się skręcaniem papierosów. Siedział jak zwykle lekko przygarbiony i nachmurzony. Nienawidziła go. Podkasała spódnicę, złapała w drugą rękę piszczałkę i zeskoczyła z wozu.

– Biegaj, biegaj, to ci złość przejdzie! – krzyknął za nią. – A jak będziesz wracała, to przynieś wody ze studni i daj Wojtkowi!

Mieszkańcy wsi nie dziwili się zbyttnio na widok pędzącej drogą, rozczochranej pannicy. Po cyrkowcach można było się wszystkiego spodziewać, a ci tutaj wcale nie byli najgorsi. Magda skierowała się w stronę widniejącego na horyzoncie lasu. Życie było niesprawiedliwe. Miała trzynaście lat. Była córką niedźwiednika, wychowaną w drodze. A teraz, kiedy chciała sama nauczyć się ojcowskiej sztuki, usłyszała, że to nie zajęcie dla kobiet.

– Pokażę mu jeszcze!

Mocniej zacisnęła dłoń na piszczałce. Musiała nauczyć się wygrywać melodię, która sprawiała, że niedźwiedzie ruszały w tan. Każdy treser miał własną, a melodia jej ojca była szybka i skoczna, taka, że i widzowie zaczynali przytupywać. Doskonale знаła to widowisko, które niebawem miało powtórzyć się w kolejnej wiosce.

Ludzie zaczęli zbierać się na placu targowym jeszcze przed wyznaczoną godziną. Na ubitej ziemi, tam, gdzie co wtorek sprzedawano bydło, teraz stały wozy artystów, którzy – jak niosła wieść – mieli ze sobą i prawdziwego niedźwiedzia, i błazna, co żadnej władzy nie szanował. Wieśniacy przestępowali z nogi na nogę, pojadali to i owo, niby to gwarzyli, ale pożerali wzrokiem Magdę, która razem z Bartkiem linoskoczkiem, bratem Mieszka, rozpinała linę między wozami. Co niecierpliwi usiedli na ubitej ziemi.

– Skomorochy, skomorochy! – zabrzmiało w tłumie, kiedy Malina z ojcem Magdy wyszli pod rękę, żeby ogłosić rozpoczęcie.

Ubrana w czerwoną suknię Malina czarowała wieśniaków, opowiadając im legendy i wiadomości z szerokiego świata. Mieszała jedno z drugim, tak że nikt nie wiedział, ile prawdy jest w jej bajaniach, ale ludziska słuchali jak zaczarowani. Ojciec Magdy, brodaty, zarośnięty, przygrywał jej na dudach. Potem przyszła kolej na tańce. Mieszko, błazen, wywijał wesołe sztuczki, a ludzie bili się po udach z radości. Bo też trupa z niedźwiedziem była jedną z nielicznych, które

zapuszczali się tak daleko na wschód. Spragnieni rozrywki, nieobcy wieśniacy przyjmowali z zachwytem Bartkowe akrobacje na linie, a i Magda zebrała swoją porcję oklasków za krótki pokaz żonglerki. Dziewczyna rozchmurzyła się trochę, odurzona wesołą atmosferą, ale nadal bolała ją kłótnia z ojcem. Przed ostatnim punktem programu Mieszko z Bartkiem obeszlili publiczność, zachęcając do wrzucania datków do kapeluszy. Nie przeliczyli się. Rozochoceni wieśniacy chętnie sięgali do kieszeni. I oto nadszedł najważniejszy moment – występ Wojtka. Ojciec jak zawsze zniknął w wozie i sam przyprowadził niedźwiedzia na sznurze. Dało się słyszeć westchnienia, kiedy obchodził z nim plac. Wojtek był ogromny, brązowe futro lśniło w słońcu. Wreszcie ojciec obwiązał sznurem uprzednio przygotowany pal i zawołał:

– Mieszko, przynieś no piszczałkę!

Błazen podbiegł w podskokach i wręczył mężczyźnie żądany instrument. Zaczynało się.

Wojtek zastrzygł uszami, słysząc pierwsze dźwięki melodii. Uniósł się, stanął na przednich łapach, zaczął kołysać się z boku na bok.

– Tańczy! Juści że tańczy! – wykrzyknęła wiejska dziewczucha. Nie miała jeszcze czepeca, siedziała w grupie podobnych sobie.

Ojciec Magdy skłonił głowę w jej stronę. Melodia przyspieszyła i kudłacz, wystrojony w specjalnie szytą kapotę i z kapeluszem przytrzymywanym tasiemką, coraz prędzej przebierał łapami w powietrzu. Mruczał przy tym i warczał, a niejeden zapewniał, że słyszał w tym ludzkie słowa. Gapie, jak wielu innych przed nimi, zaczęli przytupywać, a zachwycona dziewczucha wstała. Kłaskała rytmicznie, a wpięte we włosy kwiaty dodawały jej uroku. Magda wycofała się po cichu i ruszyła na przechadzkę po wsi. Nie potrzebowała widzieć, jak jej ojciec wychyla podsuwane mu kubki okowity i zagaduje zachwycone dziewczuchy. Wędrowała po wsi, przystając przed bielonymi domami i podziwiając malwy. Daleko już była, nie słyszała, jak piszczałka przyspieszyła tak bardzo, że dźwięki zlały się ze sobą, wciągnęły słuchaczy w żywy, wielogłosowy wir; niedźwiedź nie wytrzymał tempa, zwałił się na wszystkie cztery łapy i zerwał ze sznura. Wybuchła panika, wieśniacy rzucili się do ucieczki, nie zważając na to, że miś stał bez ruchu, przypatrując się im, jakby nie wiedział, co począć z tak niewdzięczną publiką. Dopiero musiał ojciec Magdy przyskoczyć do Wojtka, szarpnąć go za szyję i zaprowadzić do wozu, żeby ludzie się uspokoiili.

Mruczeł coś między sobą, aż najodważniejszy podszedł do niego:

– No, szczęście, żeście mocni nie tylko z piszczałką, ale i w ręce. Jednak nie widzi nam się, żebyście tu mogli zostać na noc, jak wcześniej było umówione. Bestia groźna jest, a u nas bydłatka stoją po oborach, żony nasze spać by nie mogły ze zmartwienia, czy w nocy się miś nie zakradnie. Nie miejcie nam za złe, ale lepiej, abyście już jechali. Z Bogiem!

Mężczyzna zmełł w ustach przekleństwo. Jazda po nocy nie wróżyła nic dobrego, a i zapłata wieśniaków okazała się mniej hojna, niż na początku mieli nadzieję. Zmiana nastroju dała się widocznie wyczuć, bo rolnicy poszeptali jeszcze i ponownie przystąpili do brodacza:

– Macie tu na drogę butelkę gorzałki i parę groszy, starczy na posiłek w karczmie. Zrozumcie, że z niedźwiedziem nie możemy was we wsi ugościć.

– Staniemy na noc za wsią, pod lasem. Zgoda?

– A niedźwiedź w klatce?

– O to się nie martwicie.

– Niech tak będzie. Ale jutro rano pojedziecie – rozejrzał się, czy nikt go nie słyszy, i zniżył głos – bo inaczej żona mi nie da spokoju. Wystraszyła się, głupia, kiedy miś się wyrwał i teraz...



– ... i teraz nasz miły gospodarz dostał ścierką przez łeb, żeby nas wyrzucić! Jakbyśmy dłużej zostali, to pewnie by wałek poszedł w ruch! – śmiał się ojciec. – Ja bym mu powiedział, jak się uczy baby rozumu, ale takiemu to nie pomoże!

– A jak się uczy baby rozumu?! – docięła Magda.

– Póki gówniarami są, to się nie odpowiada na głupie pytania. Ty widzisz, masz szczęście, boś dostała odpowiedź. A jak już wyrosną, to inaczej się dzieje. Sama zobaczysz, jak podrośniesz, ojciec ci nie będzie opowiadał.

– Twój ojciec niejedną babę uczył rozumu... – zaśmiał się Mieszko. – Tak uczył, żeś na świat przyszła, a i potem lekcji nie zaprzestał.

– A ty, Mieszko, lepszy może jesteś? Gadane masz, młody jesteś, to i oglądają się za tobą dziewczuchy, drzwiami i oknami by waliły do wozu, jakbym wpuścił. A że gonię jedną z drugą, to się kończy jak w Miechowicach, gdzie z poparzoną tyłkiem wróciłeś, bo pokrzywy w lesie były. Czy w Brodnicy, gdzie...

Magda nie słuchała dobrze jej znanych historii. Ukradkiem sięgnęła po piszczałkę, która, niepotrzebna, potoczyła się po podłodze.

– Eee, z wami, mężczyznami, to takie gadanie. Chodź, Magda, bo czasu szkoda na słuchanie. Opowiem ci o mądrej Wasylisie, jak sobie u Baby Jagi poradziła. A wy, chłopcy, siedźcie sobie przy piwsku choćby i całą noc.

Malina wzięła nastolatkę za rękę. Magda niechętnie poszła za nią do wozu, w którym obie spały, ale historia mądrej Wasylisy nie została tego wieczoru opowiedziana.

Nastolatka spojrzała na Malinę. Od najmłodszych lat gawędziarka była dla niej jak matka, chociaż były do siebie zupełnie niepodobne. Tamta miała czarne włosy, ciepły śmiech i donośny

głos, wyćwiczony przez lata opowiadania historii. Nic nie robiła sobie z niechętnych uwag tych, którym nie podobało się, że słyszą starodawne pieśni z ust kobiety, i niejednego potrafiła przepieć, jeśli taką miała ochotę. Czasami tylko – coraz częściej – zamyślała się i odchodziła od grupy, żeby siedzieć na stopniach wozu i wpatrywać się w horyzont. Magda była jej przeciwieństwem. Po matce miała jasne włosy i delikatną cerę. Wąsko wykrojone usta i zdecydowany charakter odziedziczyła po ojcu, podobnie jak niespokojnego ducha, który wiecznie gnał ją gdzieś w świat, bez wytłumaczenia, na co to komu potrzebne i dokąd trzeba by dotrzeć.

Mimo to Malina starała się przekazać małej wszystko to, co jej samej przydało się w życiu.

– Jak zechcesz, to cię nauczę, jak opowiadać – obiecała teraz.

– Malina... ja nie chcę poznawać historii, wiesz? Jak ty opowiadasz, to wszyscy słuchają, że można by wrzucić pomiędzy nich zapaloną szmatę, a by się nie ocknęli. A mnie się słowa nie trzymają, nie lubię tego. Ja bym wołała iść w ślady ojca.

– Do niedźwiedzi trzeba mieć krzepę, żeby je utrzymać. Poza tym wiesz, że ojciec z niedźwiednikami co roku chodzi po młode. Młoda dziewczucha w takiej dzicy... e, nie. Zapomnij o tym, bo nie warto.

– Ale ja muszę! Inaczej ucieknę chyba i poszukam szczęścia u innych niedźwiedników. Już się prawie wyuczyłam melodii ojca, to i reszta jakoś pójdzie.

– Nawet tak nie mów! Jak cię znajdzie, to zatłucze. I nie wszyscy ludzie są dobrzy. Jak będziesz się włóczyć bez opieki, to prędzej czy później się o tym przekonasz i pożałujesz. Daj spokój, powiadam. Porozmawiam z ojcem, może na linoskoczka się nadasz, bo jesteś chuda i mała, takim łatwiej.

– Malina, ty nic nie rozumiesz. Ja sobie poradzę z niedźwiedziami! Wojtek mnie słucha, sama przecież nieraz widziałaś! – upierała się Magda.

– Na razie się prześpij. Poranek jest mądrzejszy od wieczoru. Może ojciec się zgodzi, żebyś mu pomagała, zobaczymy. Teraz śpij, ja też się kładę. Jutro wyjeżdżamy z samego rana.

– Z samego rana, z samego rana. Powiedz to ojcu. Jak teraz posiedzą całą noc, to i w południe się nie zbiorą.

– Żebyś się nie zdziwiła. Ojciec jak chce, to się zbierze nawet i bez snu, ale przyjemność z tego żadna. No, dobranoc.

Malina pogłaskała Magdę po twarzy i wstała z posłania. Dzienna suknia pofrunęła na krzesło i kobieta stała w samej halce. Biały materiał nawet w półmroku mocno odbijał od ogorzałych ramion. Po chwili oddech Maliny, od czasu do czasu przerywany chrapaniem, świadczył, że jego właścicielka głęboko śpi. Magda wyszła z łóżka. Przystanęła przy śpiącej, położyła dłoń na jej ramieniu, a potem narzuciła na siebie ubrania i wymknęła się z wozu. Tak jak myślała, mężczyźni jeszcze siedzieli przy stole. Śmiechy i śpiewy niosły się daleko. Magda wyraziła swoją opinię na temat biesiadników, spluwając na ziemię, i jak cień przemknęła dalej.

Niedźwiedź nie spał. Leżał na boku, wpatrzony w ciemność. Podniósł zaledwie łeb, kiedy skrzypnęły drzwi i szczupła postać wśliznęła się do wozu, wpuszczając do środka księżycowe światło.

Magda pogłaskała zwierzę. Jej cienkie ręce z łatwością przechodziły między prętami drewnianej klatki. Jako jedyna miała odwagę bawić się z Wojtkiem. Reszta trupy krzywo na to patrzyła, a sentymenty większości najlepiej wyraził ponury Bartek:

– Wszystko pięknie, póki się na nią nie rzuci i nie odgryzie ramienia. Każde dzikie zwierzę jest nieufne wobec ludzi, a że ten oblaskawion, to łatwiej zapomnieć o jego prawdziwej naturze.

– Dałbyś pokój, Bartek! Od ilu lat już z nami jeździ? Pięć będzie. Nawet muchy nie skrzywdził w tym czasie – broniła zwierza Magda.

Kłótnia, jak wiele innych wśród wędrownych cyrkowców, pozostała nierozstrzygnięta, a dziewczyna nadal bawiła się z niedźwiedziem, kiedy tak jej się podobało. Karmiła go jabłkami i gruszkami, wrzucała do klatki ryby i kawałki mięsa i powoli jasne stało się, że to Magda opiekuje się Wojtkiem. Ojciec przyzwalał na to, jak długo dziewczynka nie próbowała wyprowadzać go z klatki.

– Łaskawca! Zaraz mu pokażę, co potrafimy! Nie, Wojtuś? Zatańczymy?

Skrzypnął unoszony skobel, ręce dziewczyny założyły sznur na niedźwiedzią szyję.

Powoli, powoli wstał Wojtek na cztery łapy. Kiwał głową na boki, jak zawsze, kiedy nie występował. Łapa za łapą wyszedł z klatki i trącił nosem dziewczynę.

– Co, Wojtek?

Przysięgłaby, że wskazał łbem na rzuconą w kąt pelerynę i kapelusz.

– Chcesz się wystroić? Dobrze! Mądry Wojtek!

Pocałowała misia między uszami i oblekła go w cyrkowe ubrania. Nocne powietrze było rześkie. We wsi dawno już pogasły światła, księżyc stał wysoko na niebie. Uśpiony świat wydawał się uśmiechać do wszystkich, którzy mieli odwagę żyć swoim życiem. Którzy wyrwali się na wolność, dążyli do spełnienia marzeń, walczyli o swoje, sprzeciwiając się niesprawiedliwym tyranom. Magda obwiązała starannie pal i wyjęła zza pazuchy piszczalkę. Niepewne dźwięki popłynęły w noc, niedźwiedź stanął na dwóch łapach, bezwarunkowo posłuszny wspomnieniom z dzieciństwa. Gromada mężczyzn zakładała mu na tylne łapy grube buty, wpuszczała do izby i jeden, ten, który potem zabrał go ze sobą, zaczynał grać. Wojtek próbował uciec, ale nie było wyjścia. Podłoga nagrzewała się niemiłosiernie, parzyła niedźwiedzie łapy. Wysokie dźwięki wdzierają się w uszy. Zdesperowane zwierzę unosiło tułów i balansowało, próbując uniknąć bólu. Skoczna melodia na zawsze wyryła w mózgu Wojtka jeden rozkaz: unieś się. Tańcz. I niedźwiedź tańczył, tańczył, dopóki Magda nie zmyliła rytmu. Piszczalka ucichła, a w głowie zwierzęcia pojawiły się nagle inne obrazy, tak odległe, że może niebyłe. Picie mleka matki, walka z innymi niedźwiedziątkami, światło między drzewami. Trzeszczenie gałązek pod stopami ludzi, szamotanina i ucieczka. Z nim. Ogłuszona matka została tam, gdzie znaleźli ją ludzie, a dwa pozostałe niedźwiedziątka zdążyły uciec. Teraz, w ciszy, Wojtek wychwytywał dawno zapomniane dźwięki. Niemal słyszał, jak przelatują nad nim sowy, a króliki tulą się w norach i w niespokojnym półśnie trzęsą się przed lisem. Czuł własną siłę. Wszyscy ci ludzie, ich piszczalki i wozy, wszystko, co go ograniczało... Niedźwiedź szarpnął się i opadł na cztery łapy, bez trudu zerwał sznur. Ze stłumionym rykiem podbiegł do Magdy i powalił ją na ziemię. Już miał rozerwać jej szyję, kiedy przypomniały mu się wszystkie kaski, jakie mu podsuwała. Niezdecydowany, zaczął węszyć, kierując łeb w stronę lasu. Z wozu mężczyzn dobiegły kolejne wybuchy śmiechu. Ktoś przygrywał na skrzypkach. Wystraszona dziewczyna zaczęła się wycofywać. Nie odważyła się podnieść, przesuwając się powoli na czworakach.

– Wojtuś, Woj... – bełkotała.

Kudłacz zabiegł jej drogę. W pysku trzymał kawałek sznura. Warknął.

Trzęsącymi się rękami zamocowała sobie na szyi pętlę. Dziewczyna na uwięzi i przebrany za człowieka niedźwiedź ruszyli przez las. Wkrótce rozjarzony wóz zniknął w oddali. Kiedy Magda próbowała się zatrzymać, Wojtek popędzał ją warczeniem. Nie odzywał się więcej i dziewczyna mrugała oczami, niepokorna, czy nie śni.

Wędrowali po omacku, bezdrożami, nocą. Spali w gęstwinach leśnych, zagajnikach, na ziemi. Wojtek rozkopywał mrowiska i wyjadał ptasie jajka. Magda karmiła się jagodami. Nie próbowała uciekać, wiedząc, że jej towarzysz dogoni ją w lesie bez trudu. Chociaż bała się o swoje życie, to awanturniczy duch cieszył się, że taka ją przygoda spotkała. Późne sierpniowe noce były chłodne, ale niedźwiedzie futro grzało ich oboje. Aż wreszcie Wojtek stanął na dwóch łapach i węsząc, poczuł zmianę – powietrze nie niesło już zapachu znienawidzonego cyrku.

Niedźwiedź poprowadził dziewczynę na gościniec. Nie bał się już pogoni. Weszli zaraz do gospody. Nikt nie dziwował się zwierzęciu na dwóch łapach, prowadzonemu przez dziewczynę. Niejeden wybuchnął za to śmiechem, kiedy Magda wyciągnęła piszczałkę, a Wojtek zaczął wykonywać znajome ruchy. Podobała się dziewczyna, jakiej nie widział świat, z oswojonym, niemal ludzkim misiem. Nikt nie zaprotestował, kiedy niedźwiedź skończył tańczyć i ułożył się u stóp dziewczyny. Monety sypały się ze wszystkich stron i dziwna para wkrótce zjadła sytą kolację. Magda schowała pozostałe miedziaki, postanowiwszy, że kupi sobie nową sukienkę. Dziewczyna z rozkoszą wyciągnęła się w łóżku, zdawało jej się, że pierwszy raz od bardzo dawna. Jeśli tak miało wyglądać wędrowne życie, to przecucie jej nie myliło.

Niedźwiedź ułożył się na podłodze, łapiąc w zęby postronek, na którym prowadził dziewczynę. Nabrał zwyczaju lekko ciągnąć za sznur od czasu do czasu, jakby chciał przypomnieć Magdzie, kto kogo prowadzi.

– Wojtku, cieszę się, żeś mnie zabrał. Ojciec jest szalony, że trzymał cię w klatce. Możemy wymyślić nowe melodie, nowe tańce... – Po raz pierwszy odważyła się pogłodzić niedźwiedzia po pysku.

Odpowiedzią było krótkie, ostrzegawcze warknięcie. Magda odwróciła się na drugi bok, próbując powstrzymać napływające do oczu łzy. Bo tak naprawdę nie było wcale tak, jak się spodziewała. Gdyby niedźwiedź na to pozwolił, najchętniej zostałaby jeszcze w karczmie. Kupiec z synem zapraszali tak pięknie... ale nie, musiała posłusznie pójść na górę. I teraz nigdy już nie zobaczy Mieszka. Miał na imię tak, jak błazen, ale był o tyle miłszy! I piękniejszy! I... teraz płakała już na głos. Zwierzak obrócił się gwałtownie na drugi bok, szarpiąc za sznur. Gdyby mogła, zatopiłaby nóż w jego szyi. Zamiast tego ukołysała się do snu marzeniami o wolności. Powtarzała sobie, że sama wybrała ten los, chowając się przed matką, oznaczającą zasady i bezpieczeństwo, a będącą dla Magdy tylko niewyraźnym wspomnieniem. Delikatna córka kupca uciekła z domu, zauroczona mężczyzną, który zjawił się w jej życiu znikąd, i przyłączyła się do jego trupy. Uczyla się grać na balałajce – coś tam sobie brzdąkała bez ładu i składu, mówił ojciec, kiedy Magda pytała go o matczyne zajęcia – ale zanim zdążyła na dobre stać się częścią zespołu, na świat przyszła Magda. Z każdą kolejną odwiedzaną wsią Melisa Malewska, zbiegła córka kupca, popadała w głębszą rozpacz. Nie wiedziała, co widziała kiedyś w tym mężczyźnie, którego życie polegało na włóczeniu się po bezdrożach i opowiadaniu sprośnych żartów pijanym wieśniakom. Z rozmarzeniem wspominała dni spędzone na wyszywaniu i pomaganiu w sklepie, ba, nawet niedziele, kiedy ojciec czytał całej rodzinie żywoty świętych. Czara gorczy przelała się, kiedy nie dostała wymarzonej sukienki z delikatnego muślinu.

– Odwieź mnie do domu! Zabieram córkę i wracam do rodzinnego gniazda! – oświadczyła Melisa Malewska.

Magda schroniła się przed krzykami pod łóżkiem. Spod zwisającej niemal do ziemi kapy przysłuchiwała się kłótni dorosłych. Nie rozumiała sytuacji, ale z doświadczenia wiedziała, że złe jest wchodzić pod nogi rodzicom, kiedy ojciec chodzi po wozie ogromnymi krokami, a matka szlocha i to rzuca się na niego, to pokłada na podłodze.

– Skoro ci tu źle... tylko że ja z tobą nie pojadę, nie mogę teraz zawrócić. Malina cię odwiedzie.
– Nic cię nie obchodzi, tylko ten twój cyrk! Ty mnie wcale nie kochaaaasz! Zabieram córkę i odchodzę!

Magda wstrzymała oddech. Gdyby mogła zniknąć, zrobiłaby to. Wcale nie chciała donikąd odchodzić. Matka była anemiczną kobietą, spędzającą całe dnie w ciemnym, dusznym wnętrzu wozu, a ojciec, o, z nim zawsze były przygody. Kiedyś zniknął na długi czas i wrócił z małym niedźwiadkiem. Trzymał go mocno z Mieszkim, a Magda mogła głaskać miękkie misiowe futerko. Gdyby matka ją zabrała, Magda już nigdy nie zobaczyłaby swojego Wojtka.

– Gdzie jest moja córka? Gdzie ją schowałeś?

– Biega pewnie po polu, i dobrze. Nie jest z niej takie chuchro jak z ciebie – warknął ojciec.

Długo szukali małej po okolicznych polach, aż wreszcie głód i zmęczenie zmusiły ją do opuszczenia kryjówki.

– Ja nie chcę do miasta... Ja chcę z Wojtkiem... i z tatą! – marudziła.

O dziwo, Melisa wyraziła zgodę.

– Jak tam sobie chcesz. Jaki ojciec, taka córka. Będzie was nosić bez końca po świecie. Tfu!

Potem, wyczerpana nerwowo, zaczęła płakać. Ale decyzji nie zmieniła i następnego dnia o świcie odjechała z Maliną w stronę rodzinnego miasta. Jak niosła wieść, rodzina przyjęła skruszoną grzesznicę pod swoje skrzydła i troskliwie się nią zaopiekowała – Melisę zesłano do klasztoru, gdzie miała spędzić resztę swych dni, pokutując za grzechy młodości. Magda została w drodze.

Szli na północ, dziewczyna w podartych trzewikach, z tobołkiem na ramieniu i sznurem na szyi, i niedźwiedź. Wsie były rozrzucone coraz rzadziej między lasami, o miastach mowy nie było wcale, a w gospodach niepodzielnie królowało brązowe pożywne piwo i zupa kapuściana z tłustą słoniną. Magda zauważyła też, że ludzie są jacyś inni. Jasnowłosi, wyrośnięci, patrzyli spode łba, słysząc obcy akcent. Kobiety nosiły warkocze upięte w koronę i nieraz zdarzyło się, że jakaś splunęła jej pod nogi. Niedźwiedzie tańce nie budziły już zachwyty. Teraz to Magda musiała tańczyć i kokietować spojrzeniem gapiów, a i to ledwo pozwalało im uezierać pieniądze na nocleg i jedzenie. Dziewczyna gratulowała sobie w duchu, że kupiła wcześniej dwie sukienki na zmianę – szkarłatne, jak kiedyś Malina – i solidne, drogie buty. Niedźwiedź nie rozumiał wartości pieniędzy, nie interesowały go błyszczące krążki, które chowała do tobołka. Zależało mu tylko na dobrym jedzeniu co noc.

– Czekaj chwilę, Wojtek! Nogi mnie bołą, już nie mogę!

Pociągnął delikatnie za sznur.

– Dobrze, ale nie dalej niż do brzegu lasu, proszę!

Nauczyła się rozumieć jego język, złożony z pomrukiwań i szarpnięć za sznur, a gdy sytuacja ją do tego zmuszała, przekładała warknięcia Wojtka na ludzkie słowa. Tak jak w ostatniej karczmie, kiedy gospodarz nieco za długo interesował się nietypowymi gośćmi. Zamiast postawić przed nimi miski z polewką i odejść, przyglądał się Magdzie uważnie.

– A co to panienka robi sama... ze zwierzem? I jak to takiego można przyuczyć, żeby słuchał? Ja niby jestem stary kozieł, ale żeby mnie jaka panna uczyła, to jeszcze trochę muszę pożyć.

– Z jakim zwierzem? Zwyczajnie ubrany, w kapeluszu, to już gość pełną gębą. Nie zgadza się?

– Gość, gość. Szykowny kapelusz, nie powiem. A dokąd idziecie?

– Dalej na północ – burknęła niechętnie.

– Na północ? O, to przez góry wam droga wypadnie. Rozglądajcie się tam za owieczkami, może spotkacie moje. A opowiem panience zabawną historyjkę o góralu i owcy. – Mężczyzna rozsiadł się wygodnie. Tak blisko, że czuła jego nieświeży oddech. – Otóż wziął góral jagniątko do domu, a jego żona, istna jędra...

Wojtek warknął ostrzegawczo.

– Lepiej nie kończyć historyjki – ostrzegła Magda.

– A co to, miś nie w sosie? Faceję dokończę i wracam do gości, skoro nic tu po mnie – obruszył się fałszywie karczmarz.

Wojtek ryknął tak, że mężczyzna odszedł bez słowa. Miał zresztą wiele do roboty, bo w karczmie zaroilo się od nowo przybyłych. Gromada kupców musiała jechać z południa. Magda rozpoznawała ich miękki akcent i kolorowe stroje. Najstarszy z nich, a zapewne i najzamożniejszy, miał czerwone policzki i ogromny brzuch. Karczmarz nachylił się ku niemu. Zaczął coś tłumaczyć. Mężczyzna odsunął go delikatnie, marszcząc nos, i krzyknął:

– Tańczący niedźwiedź z panną?! Dawajcie ich tu!

Reszta kompanii poparła życzenie i obrażony gospodarz, chcąc nie chcąc, podszedł do Magdy.

– Nie zechciałabyś może...

– Zechciałabym. Jak nam dobrze zapłacisz. I podaj no jeszcze trochę tej pieczeni dla mojego kompana – odpowiedziała bez namysłu.

Kupcy zaczęli pogwizdywać i przytupywać. Część rozsiadła się na ławach, a karczmarka nąpręde rozlewała piwo do ogromnych kufli.

– Dobrze. Rozliczymy się potem, widzisz, że szanownym gościom spieszo zobaczyć wasze sztuczki – wyrzucił z siebie.

– Im może i spieszo, ale ja nie zagram, póki nie dostanę tego, co mi się należy.

– Bezczelna gówniara! Za kogo ty się masz?! Jak mi się spodoba, zgłoszę strażnikom, że się włóczysz z dziką bestią i siejesz zgorszenie. Inaczej będziesz rozmawiała, jak sobie posiedzisz w lochu. Tu nie ma takiego barbarzyństwa, jak tam, skąd pochodzisz... tfu!

Splunął i wytarł spocone czoło.

– Tedy tłumacz się kupcom, dlaczego panna z niedźwiedziem nie będą ich zabawiać przy kocalji – odpowiedziała spokojnie.

Stojące przed nimi półmiski były puste, tak samo kufle. Buczenie przybierało na sile.

– Na nas pora. Droga długa. Dziękujemy za serdeczną gościnę.

Jeszcze gospoda nie zniknęła na horyzoncie, a dziewczyna i niedźwiedź minęli jeszcze jedną, mniejszą grupę w drodze na popas. Na widok jednego z mężczyzn Magda poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

– Mieszko!

Młodzieniec na koniu zatrzymał się gwałtownie. Machnął na towarzyszy, żeby jechali dalej.

– Wy tutaj? Zostańcie na noc w gospodzie, opowiesz, co was tutaj sprowadza.

– Nie mogę. On... chce ruszać.

– A ty? – spytał cicho Mieszko.

– Ja nie mam wyboru. – Musnęła dłonią szyję. – Widzisz ten sznur?

Niedźwiedź zawarczał. Uniósł się na dwie łapy i powoli zbliżył się do jeźdźcy. Magda spojrzała błagalnie na chłopaka.. Nie zawiódł, wyciągnął miecz.

– Puść pannę!

Mieszko czuł, jak drzą mu ręce. Dostał miecz parę dni temu, na piętnaste urodziny, a dopiero w domu miał zacząć lekcje fechtunku z wykorzystaniem prawdziwej broni, a nie drewnianej

pałki. Ojciec pozwolił mu nosić w drodze broń przy sobie pod warunkiem, że nie wyciągnie jej z pochwy i nie będzie wszczynał awantur. A teraz chłopak stawiał czoła rozwścieczonemu niedźwiedziowi więzącemu uciśnioną pannę.

– Cofnij się! – Sam słyszał, że jego głos brzmi słabo i cienko.

Niedźwiedzi ryk zabrzmiał ostrzegawczo, jakby Wojtek chciał powiedzieć „Dołącz do swoich, nas zostaw”.

Klacz zarżała i stanęła dęba. Miecz wypadł z ręki niewprawnego jeźdźcy. Wojtek wbijał wzrok w podbrzusze klaczy, jakby zastanawiał się, czy wypruć jej wnętrzności.

– Ja... już odjeżdżam... nie chciałem... w pokoju się rozstać, jak i za pierwszym razem... – bełkotał chłopak.

Kątem oka widział, że Magda przykucnęła, próbując dosięgnąć ubłoconej broni. Zakiełkowała w nim nedoręczna nadzieja, że dziewczyna pokona niedźwiedzia. Dlatego mówił, mówił, modlił się w duszy, aby Wojtek nie odwrócił się, zanim tamta zada mu cios. Niedźwiedź, choć ogromny, był jednak bardzo szybki. Dosięgnął dziewczyny w ostatniej chwili, odrzucił na ziemię jak szmacianą lalkę. Przypadł do niej. Rozorał pazurami suknię i skórę. Magda nie stawiała oporu, leżała z zamkniętymi oczami. Klacz dygotała, nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Wreszcie niedźwiedź rozejrzał się dokoła i popędził w stronę na lasu, nie zważając na nic.

Mieszko zsiadł z konia. Wziął nieprzytomną Magdę za rękę. Łzy leciały mu po twarzy.

– Jeśli przeżyjesz, wezmę cię za żonę. Już zawsze będziemy razem – obiecał.

Delikatnie rozwiązał porzucony sznur. Powieki dziewczyny zadrgały i lekko się uniosły, ale jej oczy były puste. Malował się w nich tylko strach.

Wojtek wbiegł w las. Czochrał się o pień sosny, póki zniechęcona peleryna nie opadła na mech przy pniu. Gorzej poszło z kapeluszem. Tkwił na misiowym łbie dobrych kilka dni, aż w końcu został na jakiejś gałęzi, kiedy niedźwiedź przedzierał się przez krzaki. Wspomnienia z ludzkiego świata zacierały się szybko, z każdym dniem Wojtek coraz wyraźniej słyszał głos instynktu. A ten wskazywał na opadające liście i chłodne noce i mówił mu, że trzeba szukać miejsca na sen zimowy. Za późno było już, żeby najpierw połączyć się z jakąś samicą, tego roku niedźwiedziowi pozostawało jedynie utuczyć się do granic możliwości i zagrzebać w ciepłej, dobrze zamaskowanej gawrze. I Wojtek był posłuszny temu głosowi. Wyjadał jajka, łowił ryby, rozgrzebywał mrowiska, a kiedy nadeszła pora, wśliznął się do wcześniej przygotowanego legowiska i zasnął.

W tym samym czasie, w innej puszczy, grupa mężczyzn przedzierała się przez świerkowy zagajnik. Jeszcze jesienią upatrzyli sobie gawrę, w której niedźwiedzica schroniła się z młodym. Na czele wyprawy stanął brodaty, przedwcześnie osiwiały mężczyzna. To on jako pierwszy uderzył pałką matkę i nie przestawał, nawet gdy jego koledzy obezwładnili małego niedźwiadka i nawoływali, żeby ruszał za nimi. Zadawał ciosy długo po tym, kiedy oczywiste stało się, że zakrwawione zwierzę już nigdy się nie poruszy. Wreszcie rzucił pałkę i ruszył przez śniegi.



Redakcja i korekta:

*Anna Kańtoch
Krzysztof Wójcikiewicz*

Okładka:

Gabriela Palicka

Ilustracje:

*Aleksandra Kubacka
Katarzyna Kubacka
Izabella Pacea
Gabriela Palicka*

Skład:

Elżbieta Kłos

Neoficjalny Obiekt Literacki

*biuletyn Sekcji Literackiej
LOGRUS
Śląskiego Klubu Fantastyki*

Adres:

*40-956 Katowice
ul. A. Górnika 5
skr. poczt. 502*

*Tel. (wtorek 16.00–19.00) 32 253 98 04
E-mail: skf@skf.org.pl*

Konto:

*PKO BP
02 1020 2313 0000 3202 0114 6588*



wydawnictwo
bezpłatne